

PRZEZ KULTURĘ DO HUMANIZMU SOCJALISTYCZNEGO

— Z jakimi osiągnięciami pojedzie nasza rzeszowska delegacja na Kongres Kultury, i jak towarzysz sekretarz ocenia wkład regionu rzeszowskiego w ogólnonarodowy dorobek kulturalny? Wprawdzie próby takich syntetycznych bilansów pojawiały się już u nas kilkakrotnie, lecz życie jest dynamiczne i sytuacja w dziedzinie kultury wciąż się zmienia.

— Trzeba by tu użyć jakiejś skali porównawczej, jak zwykle przy omawianiu wszystkich osiągnięć. Np. porównać ze sobą pod tym względem dwa dwudziestolecia — międzywojenne i nasze dwudziestolecie w Polsce Ludowej. To najlepiej widać przy zestawieniu bazy kulturalnej; warunków działalności na tym polu wtedy i dziś. Dla mnie np. czynnikami wpływającymi na stan kultury i to poważnie jest dobra sieć i sprawny system komunikacyjny oraz energia elektryczna na wsi. Pamiętacie wyboiste i błotniste drogi przed wojną, nawet te państwowe? Większość wsi i osiedli była dosłownie odcięta od świata. Dzisiaj gładkie szosy gęsto oplatają nasze województwo. Autobusy PKS-u docierają prawie wszędzie... Dzięki temu znikają przegrody między wsią i miastem — zdobywcze cywilizacji i kultury docierają łatwo do najdalszych zakątków.

W dwudziestolecie międzywojennym zdołano zelektryfikować zaledwie 1 proc. wsi w tym regionie, dzisiaj plonie światło elektryczne w około 80 proc. wsi. A elektryfikacja, to nie tylko światło. To także źródło energii dla radioaparatury, telewizorów, adapterów, magnetofonów i projektorów filmowych. Te środki powszechnego przekazu dóbr kulturalnych masowo już dotarły na rzeszowską wieś. Nie muszę tu przytaczać dokładnych liczb w naszej rozmowie — nie wygłaszam referatu — ale wiadomo również, że przed wojną w ogóle nie było kin wiejskich, nie istniały bezpłatne biblioteki powszechne czy kluby wiejskie. Po wojnie powstało u nas przeszło 230 kin, kilkanaście powiatowych i zakładowych domów kultury, około 600 bibliotek oraz kilkadziesiąt świetlic i klubów. Możemy powiedzieć, że istnieją już u nas dobre warunki do pracy kulturalnej, i że tworzyliśmy je prawie od fundamentów.

— A jednak w tamtym 20-leciu mimo katastrofalnej sytuacji ekonomicznej i braku tej bazy, o której przed chwilą mówiliśmy, wieś rzeszowska nie była białą plamą na mapie kulturalnej kraju. Istniał tu jakiś twórczy ruch kulturalny, często promieniujący na kraj, działały teatry amatorskie, kapele ludowe... Inna sprawa, że działano często wbrew życzeniom ówczesnych władz i nawet nieraz w ostrym z nimi konflikcie.

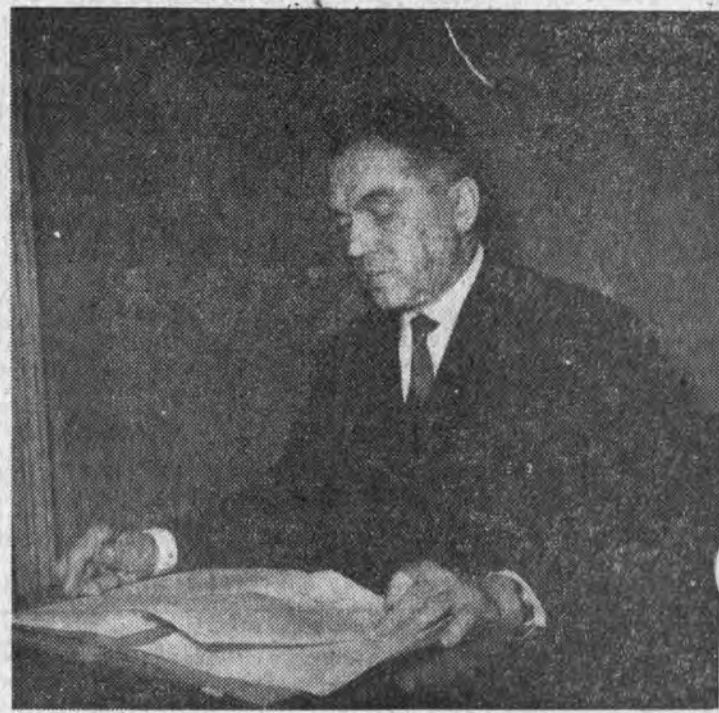
— Istotnie tak było. Zresztą tradycje aktywności kulturalnej i społecznej, bardzo u nas dawne wynikały wtedy z buntu przeciw starymu ustrojowi, z radykalizmu chłopów i robotników. Dzisiaj w zmienionych warunkach społecznych zetknięcie się tych tradycji i nawyków z opieką państwa i sprzyjającymi warunkami działania, dało jakiś wybuch aktywności kulturalnej na Rzeszowszczyźnie. Mamy przecież kilkadziesiąt amatorskich zespołów artystycznych o wysokim nie tylko poziomie i pięknym dorobku, które odnoszą sukcesy nie tylko w całym kraju, lecz i za granicą. Mamy przykłady zaangażowania społecznego wielu wsi przy budowaniu wiejskich domów kultury i szkół. Istnieje tam bowiem wielkie zapotrzebowanie na dobra kulturalne. To jest szczególnie cenne, iż mieszkańcy naszego województwa nie poprzestają na biernej konsumpcji treści kulturalnych z radia, telewizji, kina czy prasy, lecz włączają się własnym

wysiłkiem i twórczością w ogólny dorobek.

— Na ogół wiadomo, że Instytucja wojewódzka i towarzysz sekretarz osobiście — przykładają wiele wagi do rozwoju środowisk twórczych w samym Rzeszowie. Służą zawsze twórcom opieką i pomocą. Jak towarzysz ocenia sytuację istniejącą w tej dziedzinie?

— Problem tworzenia dóbr kulturalnych, które później można upowszechniać jest trudny i skomplikowany. Dla wartościowej pracy kulturalnej, właściwego upowszechniania sztuki, konieczne jest istnienie środowisk twórczych — pisarzy, plastyków, muzyków i aktorów. Odczuwaliśmy bardzo mocno brak takiego środowiska. Rzeszów dotąd nigdy nie był większym ośrodkiem miejskim i centrum kulturalnym. Wiele wybitnych twórców stąd się wywodzących i z tą ziemią związanych, odchodziło do Krakowa, Warszawy czy Poznania. Nie mieli na

stworzenia Orkiestra Symfoniczna, która dzięki swojemu poziomowi artystycznemu zostanie przemianowana na filharmonię (ujęliśmy w planie na najbliższy okres budowę dla niej gmachu), działają dwa zawodowe teatry — dziecięcy i dla dorosłych, a plastycy otrzymali piękny Dom Sztuki z salami wystawowymi i pracowniami. Od niedawna istnieją dwie wyższe uczelnie z 8 filiami na terenie województwa, które kształcą łącznie ok. 7 tys. studentów. To wszystko stwarza i warunki do działania środowiska twórczego, i dużą grupę chłonnych konsumentów. Powoli zaczynają tu ściągać i osiedlać się pisarze, malarze czy młodzi naukowcy, i to w większości pochodzący właśnie z Rzeszowszczyzny. Można więc mówić o bardzo korzystnym zjawisku powrotów, a nie emigracji twórców. Oczywiście nie liczymy na powrót tych wszystkich, którzy zdobyli sobie wysoką rangę w innych ośrodkach.



Prof. M. KOPEĆ

działania. Taki sam mądry upór cechuje rzeszowskich muzyków. POS wykiłca się z władzami o swoje ży-

wchodźmy obecnie jako wartościowy partner do kultury ogólnonarodowej. Nie istnieją już drastyczne różnice między poziomem życia kulturalnego w Rzeszowie i w innych miastach wojewódzkich. Warto to sobie uświadomić, a wtedy pozbedziemy się kompleksu prowincji, który wielu jeszcze ludzi u nas dręczy.

Rozmowa z delegatem na Kongres Kultury Polskiej, członkiem KC i sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie DR. WŁADYSŁAWEM KRUCZKIEM

provincji odpowiedniego klimatu i warunków materialnych do twórczości artystycznej. Stąd przecież odeszli kiedyś m. in. pisarze: Jan Wiktor, Julian Przybos, Stanisław Piętałak i Jan Bolesław Ożóg; plastycy — Jan Wodyński, Marian Konieczny, Roman Tarkowski, Włodzimierz Kunz lub aktorzy, jak np. Kazimierz Opaliński, Ignacy Machowski, Józef Kondrat czy Kazimierz Dejmek... To zjawisko opuszczenia rodzinnych stron przez twórców trwało jeszcze długo po wyzwoleniu. Dopiero teraz powstały w Rzeszowie warunki, które sprzyjają powstawaniu własnego środowiska twórczego i zaczyna się ono kształtować. Istnieje w mieście Pań-

Zdajemy sobie sprawę z tego, że trzeba ze strony artystów bardzo wiele zaciętości, uporu i wytrwałego działania nad wyrobieniem smaku artystycznego i umiejętności odbioru przez społeczeństwo dzieł sztuki współczesnej. Nie zawsze sale koncertowe, teatralne czy wystawy malarskie są zatłoczone publicznością — czasem bywa tam dość pusto i to deprymuje artystów i osłabia ich zapał twórczy. Mam osobiście wiele uznania dla prężnego już środowiska plastyków, za ich wysiłki nad upowszechnieniem plastyki w wiejskich klubach, świetlicach i szkołach; za związek z życiem i współpracę przy upiększaniu miasta i w ogóle za ofensywność ich

wodne interesy i z zawziętością walczy o zdobycie słuchaczy, o umykalnienie odbiorców w całym województwie. Wysoko cenię ludzi, którzy umieją atakować, walczyć o swoje cele i upominać się o warunki dla rozwoju swego środowiska. Duże zasługi położył również teatr im. W. Siemaszkowej dla upowszechnienia kultury teatralnej pracując w bardzo ciężkich warunkach objazdów. Liczymy na to, że z istniejącego Klubu Literackiego powstanie w najbliższym czasie, jak z załączka, Oddział Związku Literatów Polskich. Trzeba by tylko życzyć członkom Klubu wydania, jak najwięcej mądrych i pożytecznych książek. Ogólnie trzeba stwierdzić, że

— Wydaje się, że w publikacjach prasy centralnej na temat kultury naszego regionu ten ton poklepywania prowincjuszy po ramieniu już zamilkł. Publicyści i pisarze odnoszą się z szacunkiem do naszych osiągnięć. Niektórym z nas trudniej się czasem wyzwolić z poczucia niższości i kompleksu dawnej Polski „B”. Wracając jednak do zasadniczego tematu rozmowy — jak będą wyglądały perspektywy inwestycji kulturalnych i środków na działalność kulturalną w najbliższej przyszłości?

— Niestety — nie najlepiej! Nie będziemy mogli zbyt wiele inwestować w kulturę, gdyż najważniejszym obecnie zadaniem jest dalszy rozwój produkcji. Musimy stworzyć wiele nowych stanowisk pracy dla ludzi, postarać się o zatrudnienie wielkiej rzeszy młodzieży, która ukończy szkołę i zdobędzie zawód. Inwestycje przemysłowe dopiero później, po akumulacji dadzą nam większe środki na budownictwo obiektów kulturalnych. Dlatego trzeba obecnie komasować wszystkie wysiłki i nie dopuszczać do rozpraszania się funduszy w dziedzinie kultury. Małe środki różnych instytucji czy organizacji połączone razem mogą dać poważne inwestycje lub ożywioną wspólną działalność.

— O koordynacji środków i działań mówiono również w Uchwale Plenum KW PZPR w sprawie aktualnych zadań działalności k.o. na wsi. Jak Waszym zdaniem realizuje się ten ważny postulat u nas?

— Jeszcze nie uzyskaliśmy zasadniczych osiągnięć. Więcej uwagi niż dotąd winno poświęcić tej sprawie Prez. WRN — za mało czyni się w dziedzinie koordynacji w powiatowych radach narodowych. Zło tkwi w tym, że każda organizacja czy zakład pracy chcą same gospodarzyć swoimi funduszami i dlatego często powstają dwa miszerne kluby taro, gdzie przy porozumieniu mógłby powstać jeden okazały i dobrze wyposażony. Można by tworzyć świetne placówki międzyzakładowe, można by nawet w gromadach przy połączeniu skromnych środków na działalność kulturalną np. Koła Gospodyń Wiejskich, Kółka Rolniczego, ZMW, PGR-u czy POM-u stworzyć ożywiony i bogaty ośrodek życia kulturalnego. Niestety, teoretycznie wszyscy są do takiego pro-



PRZEZ KULTURĘ do humanizmu socjalistycznego

(Ciąg dalszy ze str. 1)

gramu przekonani, lecz w praktyce mało kto kwapi się do realizacji. Prez. WRN i prezydja PRN. Związki Zawodowe i organizacje społeczne muszą wreszcie zrozumieć, że zasada „każdy sobie rzepkę skrobie” jest sprzeczna z interesem społecznym w kulturze.

Jeszcze jedno pytanie na zakończenie naszej rozmowy. Wiemy, że Kongres Kultury Polskiej, to nie tylko podsumowanie osiągnięć, lecz również dyskusja nad jej modelem w przyszłości i jej wychowawczymi funkcjami oraz rangą w społeczeństwie socjalistycznym. Jakie jest Wasze zdanie o tych sprawach tow. sekretarzu?

Sądzę, że wysoki poziom kultury ma decydujące znaczenie dla całości życia ludzkiego. Dlatego tak ważna jest sprawa upowszechnienia kultury wszystkimi dostępnymi środkami. Dzięki mądrej i dalekowzrotnej polityce kulturalnej możemy umożliwić ludziom kształtowanie kultury pracy, kultury stonków międzyludzkich, życia codziennego... Już teraz widać jak dodatni wpływ na wsi wywierają w tym kierunku klubo-kawiarnie.

Znam przedwojenną wieś rzeszowską i wiem, że tam jedynym miejscem spotkań i rozrywki była karczma. Ale tam najczęściej bawiono się nożami — w klubie spędza się czas przy kawie i telewizji. Nożownictwo i bójki kolkami nie należą już do obyczaju na wsi — choć w wyjątkowych wypadkach mogą się jeszcze zdarzyć. Poziom kulturalny powinien pomagać człowiekowi współczesnemu we właściwym wyborze wartości moralnych, społecznych i wszystkich innych. Osobiście sądzę także, że kultura winna kształtować pełną odpowiedzialność człowieka za społeczne konsekwencje każdego jego czynu. Dziś często jeszcze spotykamy się z brakiem odpowiedzialności, ze skrajnym egoizmem, z postawą „czy się stoi, czy się leży”... Stąd tak dużo zakłóceń, zgrzytów, konfliktów wokół nas. Kultura moim zdaniem może wpłynąć na socjalistyczny stosunek do pracy z jednej, i humanizację pracy z drugiej strony. Słowem, bez aktywnej i żywej twórczości dóbr kulturalnych i działalności kulturalnej, nie dojdziemy do pełnego zhumanizowania społeczeństwa. A taki cel — humanizm socjalistyczny — wart jest największych wysiłków.

Rozmawiał: JAN GRYGIEL



V OGRODACH LUVRU

RYŚ. E. KIEFERLING

O przyszłości kraju decydują nie tylko możliwości produkcyjne czy zasoby surowcowe; coraz większe znaczenie przypisuje się bogactwom kulturalnym, potencjałowi intelektualnemu. Naukę bowiem traktuje się jako bezpośrednią siłę produkcyjną. Stąd wzrastająca rola czynnika ludzkiego, kwalifikacji i uzdolnień pracowników. Teza ta znajduje potwierdzenie chociażby w dynamice rozwoju szkolnictwa wyższego, lecz kryterium wykształcenia nie jest jedynym miernikiem potencjału intelektualnego, nie jest tożsame z kwalifikacjami upoważniającymi do podjęcia pracy twórczej w szerokim tego słowa znaczeniu. Najczęściej stosuje się jednak kryterium wykształcenia, gdyż pozwala ono na porównywanie danych statystycznych.

A statystyka szkolnictwa wyższego jest rzeczywiście interesująca. Prasa codzienna z okazji inauguracji roku akademickiego podaje szereg danych dotyczące aktualnego stanu kształcenia na poziomie wyższym; w 77 wyższych uczelniach studiuje około 260 tys. osób, w tym na pierwszych latach — ponad 55 tys. Dodać warto, że liczba studentów we współczesnym świecie szacuje się na około 20 mln, a uczelnie wydają rocznie blisko 3 mln dyplomów, w tym w krajach należących do RWPG — około 500 tys. W minionym dziesięcioleciu liczba studentów krajów RWPG wzrosła z 2,3 mln do 4,5 mln, w Polsce zaś o blisko 60 proc.

Roczny przyrost potencjału intelektualnego nie jest równomierny; dla przykładu podam, że uczelnie stacjonarne ukończyły w 1951 roku 21,7 tys. osób, w 1956 r. — 17,8 tys., w 1961 r. — 16,7 tys., w 1962 r. — 14,4 tys., w 1963 r. — 16,6 tys., w 1964 r. — 17,2 tys. W bieżącym roku akademickim studia dzienne ukończy 20 tys. osób, w przyszłym — 25 tys., a w 1969 r. — 28 tys., by w 1970 roku z kolei spaść do 23,5 tys. Przypomnijmy jeszcze, że w powojennym 20-leciu studia dzienne ukończyło ponad 300 tys. osób. Rokrocznie gospodarka narodowa otrzymuje tysiące specjalistów, którzy dysponują dwoma podstawowymi atutami: młodością i wykształceniem. Sprawa właściwego wykorzystania tej kadry jest zagadnieniem o wadze państwowej.

Powróćmy do podanych wyżej liczb; rzuca się w oczy znaczne wahanie w dopływie tych kadr, co wynikało z częstych reform szkolnictwa, przedłużania bądź też skracania okresu nauki. Panuje obecnie przekonanie, że bez gruntownej reformy studiów nie będzie możliwe osiągnięcie zamierzonego planu przyrostu specjalistów. Jednym z ważniejszych zadań staje się wydane podniesienie sprawności kształcenia, która w Polsce jest nadal niska.

Nie pretendując do wyczerpującego omówienia problemu, warto podkreślić, że minister szkolnictwa wyższego prof. dr Henryk Jabłoński mówi o reformie studiów, zwrócił szczególną uwagę na właściwy dobór studentów. Sprawy te nie od dziś frapują opinię publiczną, lecz zainteresowanie to jest zbyt jednostronne, bo w zasadzie dotyczy jedynie możliwości podjęcia studiów.

A zagadnienia te są ważne nie tylko dla uczelni, ale także dla całego społeczeństwa. Wymagają więc zbiorowego wysiłku: nauczycieli szkół średnich, pracowników naukowo-dydaktycznych, władz szkolnych. Nie bez znaczenia jest klimat wokół zmian dokonywanych w szkolnictwie wyższym.

Badania prowadzone przez Międzyuczelniany Zakład Badań nad Szkolnictwem Wyższym wykazują, że 1/3 kandydatów na studia kieruje się jedynie ambicją posiadania wyższego wykształcenia, nie wykazując zainteresowania jakąś określona dyscypliną. Stan ten jest wysoce niepokojący m. in. dlatego, że młodzież ta następczo często spora kłopotów dydaktycznych i wychowawczych. Wynika stąd zasadniczy wniosek: należy znacznie wcześniej rozpocząć przygotowanie młodzieży do wyboru kierunku studiów, które dotychczas koncentrowały się zwykle w ostatniej klasie szkoły średniej.

Przygotowania należy prowadzić także pod kątem widzenia przyszłej pracy, bo jak się okazuje wielu absolwentów przeżywa niemałe rozczarowanie, gdy po uzyskaniu dyplomu opuszcza uczelnię. Wkraczam jednak w zagadnienia polityki zatrudnienia oraz przestrzennego rozmieszczenia potencjału intelektualnego, a sprawy te stanowią temat sam w sobie.

Dobór kandydatów na studia w dużej mierze zależy od właściwie przeprowadzonych egzaminów wstępnych. Podjęte w tym zakresie inicjatywy przyniosły już widoczne rezultaty. Jak wiadomo, zmiany systemu egzaminowania obejmują m. in. wprowadzenie anonimowości, co polepszyło samopoczucie młodzieży. Niektóre uczelnie we własnym zakresie wprowadzają eksperymenty dotyczące zarówno technicznej strony przebiegu egzaminu, jak i form sprawdzania kwalifikacji kandydatów. Intencją tych poszukiwań jest maksymalne zobiektywizowanie ocen; niekiedy nawet odstępuje się od sprawdzania wiadomości wyniesionych ze szkoły średniej na rzecz sprawdzania predyspozycji do studiów w wybranym kierunku. Warto jeszcze dodać, że tematy z matematyki opracowało wspólnie Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Ministerstwo Oświaty, by zapewnić zgodność wymagań z programem nauczania w szkole średniej. Jest to ważne o tyle, że właśnie matematyka była podstawową przyczyną niepowodzeń wielu kandydatów, a co szczególnie niepokojące — młodzież często lepiej radziła sobie z zadaniami obejmującymi materiał programowy z klas starszych aniżeli niższych.

Wspomniałem, że bez podniesienia sprawności kształcenia założony planem dopływ kadr z wyższym wykształceniem może nie być osiągnięty. Wysiłek resortu idzie w kierunku udoskonalenia metod kształcenia, a także podniesienia na wyższy poziom pracy wychowawczej. O sprawach tych mówi się obecnie sporo, o zagadnieniach zaś w pewnym sensie specyficznych, rzeszowskich uczelni informowaliśmy na łamach „Nowin” z okazji inauguracji roku akademickiego. Nie będę więc wnikał w merytoryczne problemy realizowanej obecnie re-

formy. Chodzi mi natomiast o pewne — w moim przekonaniu — nieporozumienia, jakie towarzyszą dyskusjom na temat efektywności kształcenia. Często bowiem mówi się nie o przyczynach, lecz „sprawcach” niskiej sprawności, przy czym uwzględnia się punkt widzenia albo studenta, albo pracownika naukowo-dydaktycznego.

Co więc powoduje, że sprawność kształcenia jest w dalszym ciągu niezadowolająca. Jak już wspomniałem, w minionym 10-leciu liczba studentów wzrosła o 60 proc., natomiast pracowników naukowych za-

wodzeń części młodzieży nie można bowiem tłumaczyć innymi względami niż jej subiektywną postawą, z tym jednak, że jakże często pracownicy naukowo-dydaktyczni ten właśnie wzgląd absolutyzują, przeceniając niekiedy wychowawcze znaczenie ocen niedostatecznych.

Wylania się rozległa i skomplikowana kwestia unowocześnienia metod i techniki nauczania. Prof. dr Henryk Jabłoński zagadnienia te ujmuje następująco:

„W ostatnich latach uczyniliśmy w tym zakresie pewne postępy. Postępy te są jednak jeszcze niedostateczne. Ministerstwo dołoży starań, aby przyjąć uczelniom w tym zakresie z pomocą materialną i organizacyjną. Osiągnięcie postępu zależy jednak głównie od uczelni i kadry nauczającej. Z ich strony oczekujemy inicjatywy w zakresie zastosowania środków audiowizualnych, filmów, modeli, nauczania programowego, sprawniejszych metod sprawdzania wiadomości itp. Potrzebne tu będą próby i eksperymenty, pomysłowość, a po uzyskaniu doświadczeń, wytrwałość i konsekwencja w stosowaniu nowych metod. („Głos Nauczycielski” nr 40).

Szereg przesłanek wskazuje, że problemy te dość ciekawie realizuje się w rzeszowskich uczelniach. Do takiej oceny upoważniają chociażby poszukiwania przyczyn niezadowolającej jeszcze sprawności kształcenia. Kierownictwa uczelni otwarcie stawiają złożoność problemu, zwracając uwagę zarówno na metody kształcenia jak i postawę młodzieży. Duży nacisk kładzie się na stworzenie warunków intelektualnego rozwoju studentów, co w niejednym wypadku — twierdzą pracownicy naukowo-dydaktyczni — jest zadaniem rzeczywiście trudnym.

A trudności te potęguje specyfika młodego ośrodka akademickiego. Spotykaliśmy się m. in. z twierdzeniami, że na nowych uczelniach studia podejmuje młodzież mniej zdolna. Pytałem o to pracowników naukowych, odpowiedzi były raczej zróżnicowane, zresztą różnie te problemy przedstawiały się na poszczególnych kierunkach studiów. Swego rodzaju curiosum jest wyższa sprawność na studiach dla pracujących aniżeli na dziennych w Wyższej Szkole Inżynierskiej. Specyficzną rolę uczelni stanowi i to, że około 80 proc. studentów rekrutuje się z

rodzin robotniczych i chłopskich, a więc wskaźnik bardzo wysoki. Zamiast rozważać, czy do Rzeszowa idą mniej zdolni absolwenci szkół średnich, trzeba uwzględnić, że powstanie w tym mieście uczelni umożliwiło wielu z nich w ogóle podjęcie studiów. Jest to jeden z widocznych skutków decentralizacji szkolnictwa wyższego.

Znaczenie uczelni należy także rozpatrywać w aspekcie powiększenia potencjału intelektualnego i kulturalnego południowo-wschodniej Polski. Warto zacytować fragment niezwykle ciekawej i nowatorskiej pracy Zdzisława Kowalewskiego, który tak pisze o Rzeszowszczyźnie:

„Województwo rzeszowskie z punktu widzenia nasycenia inteligencją z wyższym wykształceniem, stanowi układ bardzo zróżnicowany. Rzeszów skupia tylko jedną czwartą ogółu inteligencji, osiąga natomiast wysoki wskaźnik „potencjału intelektualnego” — 377,4 na 10 tys. mieszkańców, a więc zajmuje czwarte miejsce wśród wszystkich miast w Polsce. W Przemysłu wskaźnik nasycenia wynosi już tylko 142,2, w Stalowej Woli — 197,4. Przewidywany wzrost liczby pracowników z wyższym wykształceniem w roku 1965 zakładał 15 412 osób, z czego jedną trzecią mieli stanowić inżynierowie. W Rzeszowie stosunkowo najliczniejszą kategorią inteligencji są rzeczywiście inżynierowie, ale w Przemysłu — lekarze. W Stalowej Woli liczba inżynierów sięgała 53,8 proc., a lekarzy stanowili 13,8 proc. W niektórych powiatach najliczniejszą kategorią stanowią inżynierowie (Jasło, Dębica, Tarnobrzeg, Mielec), w powiatach Przemysł i Ustrzyki najliczniej reprezentowani są absolwenci kierunków „rolniczych”.

Potencjał intelektualny Rzeszowszczyzny nie jest mały, jeśli mierzyć go odcetkiem pracowników z wyższym wykształceniem, to oscyluje wokół średniej krajowej. Rozbudowa ośrodka akademickiego przyniesie dalsze nasycenie specjalistami z wyższym wykształceniem, nie mówiąc już o innych przejawach oddziaływania uczelni szczególnie ich kulturotwórczego znaczenia.

* Zdzisław Kowalewski — Aspekty przestrzenne potencjału intelektualnego i kulturalnego Polski Ludowej („Kultura i Społeczeństwo”, nr 3).

Zdzisław Kozioł

DWA ATUTY

trudnionych w szkolnictwie wyższym zaledwie o 25 proc. Nie są to proporcje właściwe; bardzo jasną uwidaczniają się one w szkolnictwie ekonomicznym, w którym na jednego pracownika naukowego przypada 27 studentów, podczas gdy norma przewiduje 12, na jednego zaś samodzielnego pracownika naukowego przypada około 110 studentów przy normie 60. Szkolnictwo to wykazuje szczególnie niską sprawność, zwłaszcza na studiach zaocznych, gdzie kształtuje się w granicach 15—20 proc. (Antoni Rajkiewicz — O zatrudnieniu absolwentów szkół wyższych, „Nowe drogi” nr 8 (1966)).

Mówiąc o nieporozumieniach, miałem na uwadze nie sprawy kadrowe czy bazę materialną szkolnictwa wyższego, lecz właśnie jednostronne podejście do przyczyn niepowodzeń części studentów. Teoretycznie rzecz biorąc — aczkolwiek przeczą temu przedstawiciele szkolnictwa — może nastąpić podniesienie sprawności, lecz drogą zaniżenia wymagań. Obawę tę nasunął mi chociażby taki przykład: na jednej z narad przedstawiciel administracji szkolnictwa w ostrych słowach ocenili sprawność kształcenia w pewnej szkole wyższej. Użył nawet określenia: „Za to będzie ktoś odpowiadał”. Część zaś młodzieży opacznie pojęła, a przynajmniej komentowała decyzję Plenum Komitetu Centralnego PZPR w sprawie podniesienia wskaźników sprawności; oczekiwała zaniżenia wymagań. Piszę o tym dla podkreślenia konieczności intensyfikacji pracy wychowawczej jako niezbędnego warunku powodzenia reformy studiów. A chodzi o dwa zasadnicze aspekty tego zadania: wdrażanie młodzieży do wykonywania obowiązków studenta oraz przygotowania jej do pracy i życia w społeczeństwie. Niepo-

Kariera XI Muzy

Według danych UNESCO, w ciągu ostatnich 16 lat liczba telewizorów wzrosła na świecie do imponującej liczby blisko 180 mln. Po raz pierwszy więcej niż połowa aparatów znajduje się poza granicami Stanów Zjednoczonych. Liczba telewizyjnych stacji nadawczych wzrosła do 4 tys. Największymi potęgami TV są USA (ponad 70 mln abonentów), Japonia (około 20 mln), W. Brytania (ok. 16 mln).

Ostatnie 16-lecie było niezwykle korzystne dla rozwoju telewizji w Afryce, Azji i Południowej Ameryce. W niedalekiej przyszłości rozbudowana zostanie znacznie „Asiavision” — wspólna

sieć telewizyjna, która ma objąć 20 krajów Azji, Australii i Nowej Zelandii. Niektóre z tych krajów, np. Filipiny i Syjam już współpracują w dziedzinie wymiany programów i wzajemnego szkolenia kadr. Stale rozwija się międzynarodowa współpraca między poszczególnymi telewizjami zrzeszonymi w „Eurovizji” (18 krajów Europy zachodniej), „Nordvizji” (kraje skandynawskie) i „Intervizji” (kraje Europy wschodniej).

W Polsce w ciągu 6 lat działalności „Intervizji” obejrzelśmy ponad 700 programów z państw socjalistycznych, sami przygotowując w ramach wymiany około 300.

Krystyna Świerczewska

PRZETARG na „kulturę powiatową”

Kultura powiatowa — to termin, który mógłby wywoływać wrażenie ujemne, gdyby... nie był aż tak prawdziwy. Cały zespół zjawisk, składających się nań, jest przecież zupełnie odrębny od działań kulturalnych dużych ośrodków; i choć powiat posługuje się mniej więcej identycznymi środkami upowszechniania, to o ilez bardziej złożone są metody, sposoby docierania, same w końcu działania kulturalne. Naturalnie, że decydujący moment polega na różnicach wykształcenia i przyzwyczajeniach mieszkańców wsi i miast, toteż, wydaje mi się, że na kulturę powiatową, oprócz działań sensu stricto kulturalnego, składa się jeszcze cały szereg połączonych wychowawczo — instruujących, jakiejś swoistej pracy od podstaw, która buduje zrebny nowych przyzwyczajeniach, czyni z nich pozytywne nawyki, odstrasza od brzydoty dnia powszedniego na rzecz powszechnej estetyki, słowem — zaczyna od przebudowy indywidualnych upodobań jednostki, często nieświadomie od przemian bazy materialnej i uczyniwszy ten zasadniczy krok, dopiero wtedy ma prawo budzić zainteresowania bardziej abstrakcyjnej natury (w sensie oczywiście zainteresowań mniej uchwytanych w precyzowaniu), jakie tworzą człowieka kulturalnego.

Nie wierzę bowiem, by można było mówić o rzeczywistej działalności kulturalnej tej wsi, która nie ma własnej szkoły, nie ma świetlicy, wsi, która zbyt szanuje mydło i pastę do zębów, by je używać, w której nie ma telewizora, kina czy innego stałego przystanku kultury. Nie wierzę także w skuteczność odczytu o świadomym macierzyństwie, jeśli nie poprzedzą go pogadanki o kulturze życia codziennego.

Powie ktoś, że mało dziś takich wsi, które nie dysponowałyby jakąkolwiek placówką kulturalną. Zgoda — i świadomość, że jeszcze są w niewielkim procencie, nie spędzałyby snu z powiek działaczom kultury, ale, niestety, dużo jeszcze ludzi u d z i nawet w osiedlach rzeczywiste ucywilizowanych, którzy niewiele przyswoili sobie z tej cywilizacji, którzy w sposób bierny przypatrują się nowemu dniu, których zaangażowanie w zmianę samego siebie jest zgoła żadne. I tu jest coś, co uderza niespokojnie przybysza z zewnątrz i czyni go trochę bezradnym w ocenianiu ogólnej sytuacji kulturalnej małych środowisk.

Przywykło się jakoś widzieć dwie fazy działalności wsi: tę, któ-

wą w sposób prężny prowadzi młodzież i tę, coraz rzadszą zresztą, tradycyjną i piękną działalność starych ludzi, rozmiłowanych w folklorze, którzy do kultury doszli własnymi drogami, na pewno trudnymi, ale może właśnie poprzez te trudności służą jej wiernie do końca. Reszta, na ogół, jest milczeniem, a na tę resztę składa się przecież zbyt duży procent mieszkańców, by nie warto było o nich mówić. To jest właśnie ów bierny odbiorca o nikłych zainteresowaniach, o starych nawykach, przekonany, że świat winien toczyć się bez wstrząsów, bez zmian, odbiorca, nad którym praca nie należy ani do łatwych, ani do przyjemnych. Ale odbiorca ważny — bo liczny. W kulturze powiatowej stanowiącej największą przeszkodę — która w przyszłości może dać jednak powód do największych z kolei satysfakcji i jeśli się tę bierność przelamie umiejętnie. I z takim mniej mówić o szklanych domach, za to więcej o jego własnej zagrodzie; mniej o Mickiewiczu — więcej o czystej obrze; mniej o sytuacji międzynarodowej — więcej o stosunkach ludzkich w małej zbiorowości.

Zadne to novum być może, ale kultura ludzka ma to do siebie, że im więcej starych prawd i starych dobrodziejstw rozprzeźrzeni — tym pełniejszego człowieka dorzuca społeczeństwu; im silniej skłania się ku dobrym tradycjom przeszłości — tym pewniejszą przyszłość buduje.

Uwagi powyższe nasunęły mi się w czasie lubaczowskiego sejmiku kultury, kiedy jeden z działaczy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, mówił o sprawach na ogół znanych: że z 5 odczytów wygłaszanych przed 15 laty, oddział lubaczowski skoczył dziś na liczbę 60. Nie byłoby w tym nic innego poza dobrą prawidłowością rozwoju, gdyby nie duma starego działacza, że w tej liczbie kryją się takie realne wartości, jak zauważa nie przez mieszkańców najbliższych okolic lubaczowskiego, nie należących przecie do czołówek powiatów Rzeszowszczyzny, że istnieje mydło, piękny mebel, estetyka wnętrza we własnym domu, słowem — cała kultura życia codziennego, która po trosze jest odbiciem docierania mądrego słowa dobrego prelegenta.

I na dobrą sprawę był to dla mnie szczegół dyskusji urastający do problemu najważniejszego, bo mówił nie o kulturze naskórkowej — tej będącej przywilejem niecierpliwych działaczy, ale powolnym, spokojnym zmienianiu oblicza nie

najbogatszych wsi, wyludnionych po wojnie, walczących z ogromnymi trudnościami w zakresie oświaty, a cóż dopiero mówić — instytucji kulturalnych.

Kiedy przed przeszło rokiem podróżowałam po tej ziemi, słynącej z urody, z pięknego Roztocza, z krwawej historii; ziemi, dla której wojna skończyła się najpóźniej z całej Polski, widziałam coraz mniej wypalonych progów, a coraz więcej nowych domów, widziałam bibliotekę gromadzką zajmującą I miejsce w konkursach czytelnicy, nowe świetlice, trochę klubów — kawiarni, słowem — widziałam powolny powrót do normalnego życia. Ale widziałam także wiele zakurzonych dróg, chałup tonących w brudzie, sznury dzieci maszerujących po parę kilometrów do szkół, brak kin stałych, brak internatów dziecięcych — tych trudności, których rok czy dwa wyjątkowej nawet pracy kulturalnej pokonać nie zdołają.

Może wtedy właśnie przyszedł mi do głowy termin kultury powiatowej z całym bagażem odrębnych metod, jakimi musi się posługiwać, kultury na pewno dążącej do hołubienia masowego odbiorcy, choć przecie z pojęciem masowej kul-

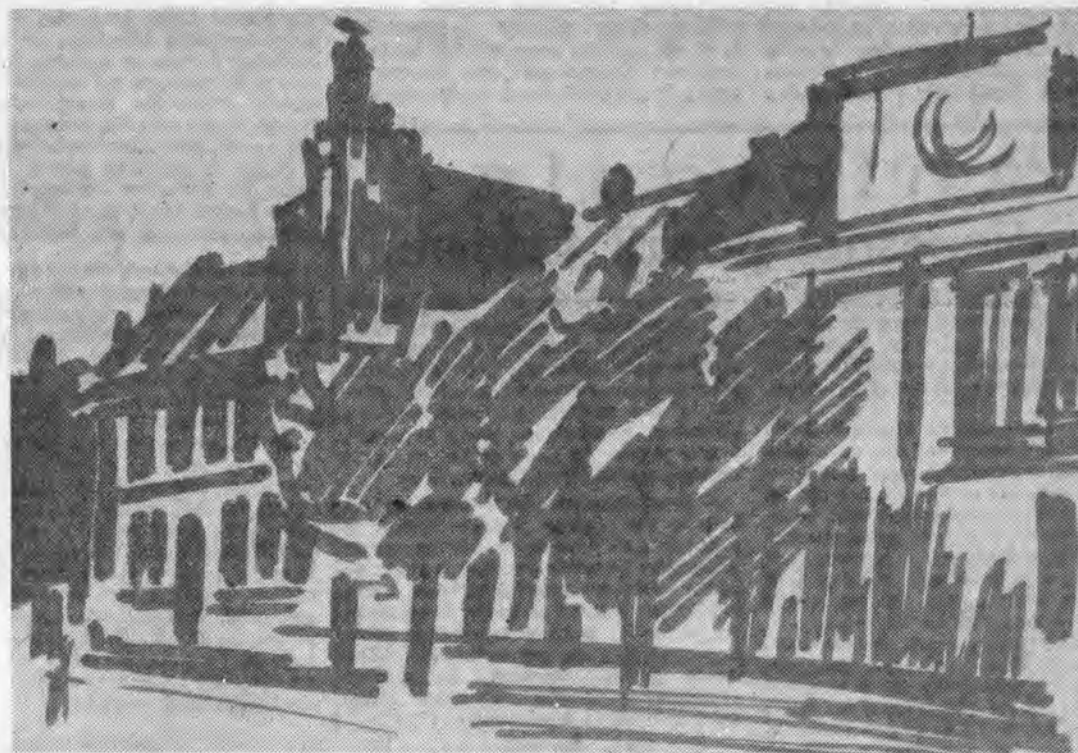
tury niewiele raczej mającej wspólnego. Tu nie idzie o jeszcze jedną celną formę widowiska estradowego czy telewizyjnego, o jeszcze jeden spektakl amatorski, o jeszcze jedną akcję konkursową, tu idzie o przekształcenie człowieka od podstaw, poprzez w s z e c h s t r o n n e akcje, w których oświatowe wybijają się na plan pierwszy w sposób zdecydowany.

Tu idzie o takie skoordynowanie prac i możliwości wszystkich instytucji zainteresowanych w dobrych efektach nowego roku kulturalnego, który się zaczyna z październikowymi dniami, by nieważne były sztyldy i wizytówki inicjującego przedsięwzięcia, ale ważna była jego wartość efektywna.

Istnieją setki drobnych przykładów, kiedy jedna z instytucji kurczowo trzyma w swych rękach placówkę, na którą nie znajduje rezerwy finansowych i... placówka niszczy jedynie pod takim patronatem. Właściwie wydaje mi się to bez zaczenia, czy np. upadającym w sposób katastrofalny muzeum regionalnym w Lubaczowie zajmuje się Wydział Kultury, czy Oddział PTTK; jeśli ten pierwszy nie ma możliwości ocieplenia wcale okazałych zbiorów, drugi zaś chętnie wyłoży nań grosz — rzecz dyskusji podlegać nie powinna. Idzie bowiem o dobro kulturalne bliższe wszystkim ludziom. I podsunąć by warto (po raz któryś tam zresztą) tę myśl k a z d e m u wydziałowi kultury, by handlował obiektami, sprzedawał je w dobre ręce, by nie niszczały zamki ni stare obiekty godne odbudowy. Zostają w końcu bowiem na swoim terenie i służą dalej temu terenowi, a przykład Baranowa i „Siarki” tarnobrzkiej — mecenatu mądrego, niechże będzie tego znamiennym przykładem.

Na kulturę powiatową trzeba piękniedzy. I nie nikt tu nie zmieni. I wcale nie klóci się to oczywiste stwierdzenie z innym: że kulturę powiatową należy uprawiać z inicjatyw społecznikowskich. Pieniądże są potrzebne tam, gdzie właśnie te inicjatywy powstają i mogą zginąć bez podparcia finansowego. I nieważne, jakimi kanałami popłyną, kto je wysuła i z jak zasobnego mieszka. Ważne będzie ich sensowne wydanie, w którym Wydział Kultury zapisze jedynie swój udział w postaci rozsądnego podsunienia propozycji — bo to chyba jest rolą prawdziwego koordynatora pracy.

Ten przetarg na kulturę powiatową, który niniejszym ogłaszam, jest podyktowany właśnie obradami sejmiku kultury w Lubaczowie — powiecie biednym, czekającym na swoje muzeum od lat, na swoją monografię, która ocaliłaby zamierającą folklor, szamocącym się między wyborem palących inwestycji, który nie posiada pomieszczenia dla Biblioteki Powiatowej i Miejskiej, który nie doczekał się kina z prawdziwego zdarzenia, który musi bezradnie patrzeć na waleśającą się po mieście dojeżdżającą młodzież, bo nie ma dla niej nawet świetlicy. A z drugiej strony powiat, gdzie wiele cennej inicjatywy społecznej zobaczy każdy, gdzie wiele spraw kulturalnych próbuje się rozsądnie załatwić systemem, nie bójmy się słowa — chałupniczym, bezzłotówkowym. Powiat, nie załamujący rąk, ale czekający dalej na swoją szansę. Wraz z nim zaś, podświadomie na razie, czekają ci wszyscy, których nazwałam biernymi odbiorcami, by następne lata, już nie mileniżne, uczyniły wyłom w ich przyzwyczajeniach i nawykach, przekształcając ich w zwyczajnych, kulturalnych ludzi.



LUBACZÓW

RYS. J. SIENKIEWICZ

Cecylia Błońska



Ignacy Chrzanowski — profesor honorowy UJ, zamęczony w obozie w Sachsenhausen 19 stycznia 1940 r. (Fot. z książki „Sonderaktion” Krakau”)

Wśród wyboru dzieł rozmaitych, z niezwykłymi zaiste pracami na nasz wielki Kongres Kultury przychodzi nauka polska.

Nie mam tu bynajmniej na uwadze rozpraw specjalistycznych, których bilans rozpatrywany będzie z trybuny Kongresu, stanowiącego jak że świetne ukoronowanie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, podczas których nauka tak wielkie we

„SONDERAKTION KRAKAU” wydana przez Związek Bojowników o Wolność i Demokrację w Warszawie w r. 1964, w dwudziestą piątą rocznicę tragicznych wydarzeń, stanowi wielkiej wagi dokument: jego znajomość wydaje się obowiązywać tych

Rady Badania Mózg, znakomity znawca literatury polskiej, autor najwybitniejszych dzieł z tego okresu Ignacy Chrzanowski, matematycy, filologowie, geografowie — filary gmachu polskiej nauki.

... Lista 15 profesorów UJ i in-

tomnie je w pełni i wymierzyć...” Z chwalebna skromnością wielki uczonego zauważa: „Może to będzie miało jakiś sens, może przyda się na co”.

Wspomnienia profesora Pignonia, Haftlinga Nr 5299, spisane z tak wielkiej odległości czasu, wnoszą do literatury obozowej nowe cenne walory. Daleki od jakiegokolwiek przypominania własnych cierpień, przeżyć, autor z konsekwencją i logiką dąży do wszechstronnego ukazania jak w pandemium — tak określał oboz w Sachsenhausen — zachowali się polscy intelektualisci. Stąd wiele nie znanych dotychczas szczegółów, odnośnie współwzięniów, ich przeżyć, udręk, jakich nie szczędził im Niemcy i solidarności, jaka cechowała tę grupę reprezentantów wysokiej hierarchii w dziedzinie nauki, przywykłych raczej na wolności do życia spokojnego, wygodnego. Hart ducha tej „gromady intelektualistów wyznaczonych na zagładę”, zawziętą wolę ocalenia, sławi po tylu latach jako wartości nieprzemijające. Ich dowodem był choćby powszechny uniwersytet obozowy, w którym w jakże haniebnych i oplakanych warunkach, nauka polska kontynuowała swój niegalny byt. „Pamiętam — pisze Pigoń — przyrodnicze wykłady Skowrona, Starmacha, zwaną kontrolerską między Stanisławem Szczotką a Władysławem Semkowiczem na temat historii chłopów, jako wyodrębnionej dyscypliny i in. Przypadki i mnie tam pogadanki: mówiłem o perypetiach tzw. sejmowego wyda-

ANEKS DRAMATYCZNY...

wszystkich dyscyplinach poczyniła postępy.

Myślę o wspomnieniach, pamiętnikach bogato udokumentowanych źródłowymi materiałami, które w latach minionych wyszły spod pióra znanych krakowskich uczonych: Władysława Konopczyńskiego, Jana Gwiazdomorskiego, Stanisława Skowrona, Stanisława Urbańczyka, Kazimierza Stołyhwo — profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie — byłych więźniów obozu hitlerowskiego w Sachsenhausen.

Sprawa bezprzykładnego pojmania 182 krakowskich uczonych, uwięzienia wraz z nimi pracowników uniwersyteckiej administracji, gwałt popełniony na czołowych reprezentantach polskiej nauki, bandycki napad dokonany 6 listopada 1939 roku przez hitlerowskich zbiorów na krakowski uniwersytet, rabunek mienia i dorobku krakowskiej Almae Matris, martyrologia więźniów, przez całe ćwierćwiecze żyje i trwa w pamięci narodu. Obszerna praca Jana Zaborowskiego i Stanisława Poznańskiego pt.

wszystkich, którzy pragnęliby, w jakiś sposób, zabierać głos na temat tego rozdziału naszej historii. Obok bogatego materiału źródłowego autorzy zgromadzili zespół fotodokumentów, z których każdy stanowi wielkie oskarżenie morderczej machiny hitlerizmu.

W rejestrze strat niepowetowanych, pierwszy figuruje doktor praw inżynier górnictwa Antoni Meyer, profesor Akademii Górniczej, b. prezes Wyższego Urzędu Górniczego, zamęczony 24 grudnia 1939 r. w obozie w Sachsenhausen, dokąd Niemcy wywieźli krakowskich profesorów po ich pobycie w więzieniu we Wrocławiu. A potem kolejne ofiary ludobójstwa: wybitny profesor historii prawa UJ Stanisław Estreicher bibliograf, kontynuator „Bibliografii Polskiej XV do XVIII stulecia” dzieła ojca, Karola; Stefan Bednarski, profesor Jerzy Smoleński członek Międzynarodowej Rady Badania Mózg, docent Tadeusz Garbowski, który polską naukę rozlał w na katedrze uniwersytetu w Wiedniu, profesor Michał Siedlecki delegat Polski do Międzynarodowej

nych krakowskich wyższych uczelni — czytamy w książce Zaborowskiego i Poznańskiego — którym życie odebrał brunatni zbrodniarze w pierwszych dniach i tygodniach okupacji — otwiera księgę najtragiczniejszych, najbardziej bolesnych strat, które poniosła kultura polska”.

Przed Kongresem Kultury, na wystawach księgarń pojawiły się „WSPOMINKI Z OBOZU W SACHSENHAUSEN (1939—1940)” naszego znakomitego rodaka Stanisława Pignonia, profesora historii literatury polskiej na uniwersytecie krakowskim.

W uwadze wstępnej autor stwierdza: „Wciąż jeszcze przypomina się ów ponury, makabryczny koszmarny, trudny do przyjęcia. Z niesłabnącym przez rażeniem wdzygać się przychodzi na myśl, jakie to przepaści zla kryją się w naturze ludzkiej i czyhają na chwilę sposobną, żeby się mogły wyrzucić... Wracalem więc wiedziony niepozybitym przypomnieniem i wciąż dręczącą refleksją w odmetę tamtej ohydy, zważając je to z tej, to z owej strony i starając się uprzy-

(Ciąg dalszy na str 4)

ANEKS DRAMATYCZNY... KTO RAZ ZAKOCHA SIĘ

(Ciąg dalszy ze str. 3)

nia Mickiewicza, granicach „niezrozumiałości” Norwida i coś tam jeszcze...!

Zagładzie czyhajacej na każdym kroku, od pierwszych dni pobytu w Sachsenhausen więźniowie przeciwstawiają twardą świadomość, iż walka o przetrwanie jest niezbędna, gdyż wiedza ich potrzebna będzie Polsce gdy powstanie. „Koledzy, nie pozwólcie zmarnować naszych śmiertelności” — oto ostatnie słowa profesora Estreichera, gdy odchodził do rewiru na ostatnią już swoją obozową wędrowkę.

Wielki humanista, Pigoń, próbuje i w tych kręgach piekielnych odszukiwać prawdziwych ludzi, jego kryteria dalekie są od schematycznych osądów, dzielących zazwyczaj więźniów obozowych na cnotliwych męczenników w pasiakach i zniecających się nad nimi szatanów w mundurach. Dostrzega pobratymca Łużyczanina i Niemca, który ludzkim głosem waży się przemawiać w jaskini zbójców.

Dzieje polskiej nauki medycznej wzbogacają relacje Pigionia o działalności uwiecznionych w Sachsenhausen znanych lekarzy — prof. Aleksandra Oszańskiego, Leona Tochowicza i in. Do najcenniejszych — pisze — liczę pozaplatane tam więzy zażyłości. Na dnię poniżenia, w obliczu zewsząd czyhajacej zagłady, łatwo przejrzeć człowieka na wskroś i rozpoznać się w jego wartości.

Mocny akord końcowy wspomnień stanowi przemówienie, wygłoszone na akademii żałobnej w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w 25 rocznicę „faktu, jakiemu podobnego nie notują dzieje ani naszego, ani żadnego innego z polskich uniwersytetów, jakiemu podobnego trudno wyszukać w dziejach nauki europejskiej. Fakt ludobójstwa uczonych...



Stanisław Estreicher — profesor prawa UJ, znakomity bibliograf, jedna z pierwszych ofiar obozu w Sachsenhausen.

(Fot. z książki „Sonderaktion Krakau”)

uderzył i zdruzgotał ludzi, ale wymierzony był w samą instytucję, wolno powiedzieć więcej, w kamień węgielny gmachu kultury naukowej narodu. Przez to właśnie jest tak symptomatyczny”.

Dramatyczny, pełen tragicznych momentów fakt pojmania ludzi bezbronnych oddanych nauce, przez hitlerowskich zbirów legitymujących się, jak na urągawisko, jakimś tytułami naukowymi raz jeszcze w tym przemówieniu sędziwego uczone-

go odżył w całej swej zgrozie. Rozważania zawarte tu nad istotą nauki, jej zadaniami utwierdzania kultury umysłowej i moralnej narodu — czołowego obowiązku — obrony bytu narodowego, daleko wykraczają poza ramy „Wspominków”, i jakże są dzisiaj aktualne! To przecież w ostatnich dniach prasa przyniosła wiadomości o tym, że opuszczają więzienia ostatni już zbrodniarze wojenni, skazani przez trybunał w Norymberdze. To przecież ludobójczy czyni na niespotykaną miarę, osławiona Ilse Koch, pracownia twórczyni efektywnych abażurów i okładek do lirycznych albumów wyrabianych z ludzkiej skóry, zabiega energicznie o zwolnienie z więzienia i ufając w pomyślny rezultat swych starań, opanowuje arkana ręcznego haftu. I czyż nadal nie „dochodzą nas głosy z krajów szczęśliwych, co nie zaznały potworności najazdu, z ust ludzi ukształconych, nawet spośród uczonych, którzy takie świadectwa, jakie my tu, świadkowie naoczni, złożyć możemy, mają za przesadę, traktują jako objaw tzw. „Greuelpropaganda” i wietrzają w tym pasję odwetowców”.

Wspomnienia Haftlinga nr 5299 uczonego europejskiej miary, świadka hitlerowskich obozów, winny się chyba szeroko w świecie rozejść wraz z jubileuszowymi materiałami, dokumentami, książkami, jakie wzbogaciły naszą kulturę w latach obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. Niechaj trafią do uczonych w tych właśnie krajach, gdzie podobnie jak w USA, nasze oczekujące krwią i łzami relacje, czestokroć przyjmowane były z niewiarą, wręcz ze sceptycyzmem.

Wspaniały język „Wspomnień”, nie spotykana szata graficzna — są złożone antykwa toruńska — ich wykwintna forma — wydano je na papierze dzielnym z Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych — czynią z tej książki pozycję edytor-ską ze wszech miar reprezentacyjną. Z kraju, któremu przed 26 laty Heinrich Himmler odważył się rzucić w twarz, takie oto wytyczne programu szkolnego dla Polaków:

„Proste liczenie najwyższej do 500, napisanie własnego nazwiska, wiedza, że boskim przykazaniem jest być poslušnym Niemcom, być uczynnym, pracowitym i rzetelnym. Czytania nie uważam za konieczne”. „Wspominki z obozu więźnia”, siawnego uczonego m. in. byłego rektora Uniwersytetu im. Stefana Batoryego w Wilnie, którego niedawny jubileusz tak szerokim odbił się echem, niechaj znane będą w świecie jako dramatyczny aneks do dzieł ostatniej wojny. Wraz z rejestrem tysięcy szkół starych i nowych, wspaniałych pomników Tysiąclecia, nowych wyższych uczelni powołanych do życia przez władzę ludową — świadectwami niezłomnego trwania i wielkiego rozwoju naukowej kultury narodu.

CECYLIA BŁONSKA

Do Jasła przyjechałem pod wieczór, ale nie miałem większych trudności z odszukaniem mieszkania mgr Kazimierza Zielińskiego, delegata na Kongres Kultury Polskiej, choć nie znałem dokładnie adresu. Pierwsza napotkana na ulicy kobieta pokazała mi pobliski dom.

W kilka chwil później rozmawiałem z mgr Zielińskim o liceum, bibliotece, o życiu kulturalnym w mieście. O sobie mówił niewiele. W Jasle wiedzą jednak wszyscy, że jest inicjatorem, duszą wielu poczynań o charakterze kulturalnym, a jednocześnie dobrym pedagogiem — polonistą i miłośnikiem książek.

Pochodzi z Krakowskiego, z okolic Bochni. W okresie okupacji prowadził potajemne nauczanie w pow. dębickim. Kiedy front przesunął się na zachód, przybył do spalonego Jasła i osiedlił się w nim na stałe. Nie siedział bezczynnie. Mimo że wszystkie domy leżały w gruzach, trzeba było pomyśleć o zorganizowaniu szkolnictwa. Mgr Zieliński był jednym z tych, którzy podjęli się wówczas tego nielubianego zadania. Wkrótce wznowił swoją działalność jasielskie gimnazjum, któremu odstąpił kilka pomieszczeń pobliska rafineria. Od pierwszych chwil mgr Zieliński związał się z tą placówką, wykładając, po dzień dzisiejszy, język polski. Zamiatanie pedagogiczne odziedziczył zapewne po rodzicach, którzy także byli nauczycielami.

Pasją Zielińskiego są także książki. Zaraz po wyzwoleniu zajął się zorganizowaniem biblioteki szkolnej, a później także biblioteki powiatowej i miejskiej. W liceum zebrał wokół siebie liczne grono uczniów, u których wyrobił zamiłowanie do książek. 10 absolwentów liceum ukończyło potem kursy bibliotekarskie. Jeden z wychowanków Zielińskiego po ukończeniu jasielskiego liceum zdobył zawód radiotechnika, ale mimo to zgłosił się do pracy w bibliotece.

Mgr Zieliński znany już także jako działacz Powiatowej Rady Narodowej. Od kilku lat jest członkiem, a od trzeciej kadencji radnym i przewodniczącym Komisji Oświaty i Kultury PRN. Często wygłasza odczyty i prelekcje, brał aktywny udział w przygotowaniu obchodów 600-lecia Jasła.

W rozmowie z Zielińskim najwięcej jednak przewijały się sprawy czytelnictwa. Jest on bowiem kierownikiem Powiatowej i Miejskiej Biblioteki w Jasle i włożył wiele pracy w rozwój czytelnictwa w tym powiecie. Uznanie tych zasług jest nadanie mu tytułu kustosa. Nie trzeba przypominać, że tuż po wojnie biblioteki w pow. jasielskim w ogóle nie istniały. Dopiero w 1947 roku otwarto bibliotekę w Jasle, a w latach następnych 12 bibliotek gminnych i 100 punktów. Obecnie w pow. jasielskim działa ogółem 26 bibliotek gromadzkich, 4 wiejskie i

Galeria rzeźby ludowej w Rzeszowie

Spośród różnych gałęzi polskiej, tradycyjnej sztuki ludowej najwyższą ocenę wartości zyskała rzeźba.

Odkryto ją w momencie, kiedy plastyka przeżywała okres burzliwy, okres nowych poszukiwań i rozwiązań formalnych. Wówczas to dostrzeżono w rzeźbie ludowej — tak jak wcześniej w sztuce i muzyce murzyńskiej — nie znane dotąd, niepowtarzalne i na wskroś oryginalne cechy prymitywu. Zaczęto ją nie tylko podziwiać, ale też gromadzić. Znalazła się w muzeach, pracowniach artystów i kolekcjach prywatnych. Nie było to tylko chwilowe powodzenie. Jego nadmiar okazał się nawet zgubny. W zaskarżającym tempie „znika” z przydrożnych kapliczek, tych przy szosach i tych przy dalekich polnych drogach, pozostawiając puste wnęki lub nowe, tandetne gipsowe figurki. W większości dostaje się w ręce prywatne, zdobi ściany mieszkań lub wychwytywana była przez kolekcjonerów zagranicznych. Wobec tej sytuacji przed muzeami stanęła kwestia: czy gromadzić ją w magazynach, czy też pozostawić w jej naturalnym otoczeniu, gdzie stanowi dodatkową atrakcję dla po-

dróżnych — ale przy tym narażać na kradzież i zniszczenie? Czy znaleźć wyjście trzebie, kompromisowe — zabierając do muzeum, pozostawiać na dawny miejscu kopię lub inną rzeźbę, wykonaną przez współczesnych ludowych rzeźbiarzy.

Muzeum Okręgowe w Rzeszowie może się poszczycić piękną kolekcją starej rzeźby ludowej. Barażo cenne okazy trafiły jeszcze przed II wojną do skromnego pokoju przy ulicy Bernardyńskiej, stanowiącej załączek dzisiejszego muzeum.

Na pierwszą po wojnie ogólnopolską wystawę malarstwa, rzeźby i grafiki ludowej, eksponowaną w roku 1948 w Pałacu Sztuki w Krakowie, trafiły najlepsze rzeszowskie rzeźby. Noszą one też na sobie metrykę wystawy „L'art populaire polonais” w Paryżu. Od chwili remontu muzeum — od roku 1955 — nie były znane szerzej publiczności. Magazyny udostępniano jedynie dla gości zagranicznych i wąskiego grona specjalistów.

Dlatego też pewnym wydarzeniem w historii rzeszowskiego muzeum stało się otwarcie 7 października 1966 roku galerii dawnej rzeszowskiej rzeźby ludowej — wybranej z bogatej zresztą całości. Wydarzenie tym bardziej doniosłe, że zbiega się z rozpoczęciem obrad Kongresu Kultury Polskiej w Warszawie. Dodatkową rangę tej wystawy nadaje wspaniała zabytkowa oprawa. Jest nią bogata, XVII-wieczna polichromia sklepienia reprezentacyjnej sali na parterze budynku muzeum.

T. S.



Fot. A. HADAŁA

Antologia współczesnej poezji ludowej

Dobiegają końca prace nad wydaniem „Antologii współczesnej poezji ludowej”. Rozmawiamy na ten temat z inicjatorem i redaktorem „Antologii” — znanym poetą i działaczem ludowym — Janem Szczaświelem.

Zjawisko samorodnego pisarstwa ludowego, a więc i poezji, nie jest nowe. Mamy bogatą twórczość ludową bezimienną, przekazywaną ustnie z pokolenia na pokolenie. Dość żywoty był nurt twórczości ludowej w latach międzywojennych. Jako działacz ruchu ludowego od lat „penetruje” teren wsi. W czasie tych wędrowek stwierdziłem, że samorodna twórczość ludowa bujnie się rozwija.

Zaczęliśmy organizować w warszawskim „Domu Chłopa” wieczory samorodnych poetów ludowych. Ich uczestnicy, przeważnie chłopci mieszkający na wsi i pracujący na roli, mówili nie tylko wiersze, ale także opowiadali o swej twórczości, o warunkach, w jakich ją uprawiają, o swych marzeniach. Mieli ochotę złożyć się, kupić papier, opłacić drukarnię i w ten sposób ogłosić swoje wiersze we wspólnej książce. I tak zrodziła się myśl wydania „Antologii współczesnej poezji ludowej”, z tym jednak, że koszt wzięcia na siebie Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

Z redaktorami i LSW zapinamy już książkę na „ostatni guzik”. Będzie to okazały tom i powinien się ukazać w pierwszym kwartale przyszłego roku. Są wśród blisko 100 autorów zarówno ludzie młodzi jak i starsi — nawet 80—90-letni. Ich twórczość jest jak najbardziej żywa, przemawiająca do czytelnika świeżością swego języka i obrazów. Na naszym rynku wydawniczym „Antologia” stanie się prawdziwym wydarzeniem.

(rozmawiał Julian Pełc, PAP)

TO NIE JEST „MARTWY DOM”

Zakładowy Dom Kultury Huty „Stalowa Wola” dobrze przygotował się do nowego roku kulturalno-oświatowego. Bogactwo zaplanowanych form pracy i różnorodność kierunków zajęć czynią z niego prawie jakiś kombinat rozrywkowo-artystyczny. Większość z nich stanowi zresztą kontynuację sprawdzonych w działaniu i istniejących już dawniej rodzajów.

W poważnie rozbudowanym dziale artystycznym pracują dwa amatorskie zespoły teatralne — jeden, to tzw. scena młodzieżowa, drugi, dla dorosłych znany jest powszechnie z kilkunastoletniej, nieprzerwanej działalności i wysokich ambicji. W sezonie jesienno-zimowym zaplanowano w pierwszym premierę „Studenciej miłości” Dychawicznego, drugi gracie będzie „Romulusa Wielkiego” Dürenmatta. Także w tym dziale pracujący zespół pieśni i tańca przygotował nowy program oparty na polskich motywach klasycznych i regionalnych.

Teatrzyk estradowy pracuje nad nowym programem rozrywkowym, przeznaczonym do spektakli dla poszczególnych wydziałów huty. W ZDK podjęto bowiem akcję zbliżania swej działalności do załogi zakładu. Ambitnie sobie poczyna Amatorski Klub Filmowy, który po ukończeniu znajdującego się w stadium realizacji filmu „Z soboty na niedzielę” (o wypoczynku świątecznym pracowników zakładu) za-

mierza kręcić film o hutnictwie i jego najdawniejszych tradycjach na terenach województw rzeszowskiego i kieleckiego.

Dużą popularnością cieszy się również klub rozrywkowy dla dorosłych, który prowadzi wielokierunkową działalność rozrywkową, artystyczną i wychowawczą. Na sezon bieżący zaplanowano organizowanie audycji umuzykalniających, wieczorów tanecznych i spotkań z przedstawicielami nauki, kultury i sztuki. W najbliższym czasie klub będzie gościł Zbigniewa Biegańskiego, Elwirę Turską, Zbigniewa Cybulskiego i Romana Prokulewicza.

Niemniej bogaty program będzie realizował dział upowszechniania wiedzy dla dorosłych. W tym dziale nadal będzie istnieć bardzo potrzebne i dobrze pracujące studium wychowania estetycznego. Na zajęciach w nim uczestniczą pracownicy kulturalno-oświatowi huty, nauczyciele i inni zainteresowani. W wyznaczonych stałych dniach tygodnia mówi się tutaj o problemach współczesnego malarstwa, muzyki i literatury.

Dyskusyjny Klub Filmowy zaplanował bieżący rok kulturalno-oświatowy dwudniowym seminarium, które odbyło się w dniach 1 i 2 bm. Zorganizowano je dla nauczycieli — złożyły się na jego program odczyty krytyków filmowych i projekcje interesujących filmów. Dział upowszechniania wie-

dzę prowadzi również Uniwersytet dla Rodziców. Działają on w 4 grupach przy miejscowych szkołach podstawowych. Prowadzi się tam odczyty z dziedziny wychowania, dydaktyki i socjologii. Ponadto ZDK prowadzi stałą pracę w świetlicy Związku Emerytów i Rencistów. Raz w tygodniu wyświetla się im filmy połączone z prelekcjami. Planuje się również i w tym roku organizowanie imprez oświatowych w okolicznych wioskach, tam gdzie są większe skupiska pracowników huty oraz pracę oświatową w wydziałach zakładu. To wychodzenie z działalnością przez Dom Kultury na zewnątrz, próba docierania z wiedzą i rozrywką do jak największej ilości pracowników huty i mieszkańców miasta, zasługuje w pełni na uznanie.

Dodajmy, iż istnieje tu także Klub Miłośników Teatru składający się z 70 stałych członków, który urządza wyjazdy na spektakle teatralne i prowadzi dyskusje.

Trzeci duży dział w ZDK stanowi dział pracy z dziećmi. Tu pracuje się także m. in. poprzez kluby. W klubie „Niezapomnijka” dla młodzieży szkół średnich od 14—18 lat, uczestnicy również wysłuchują pogadek i prelekcji z dziedziny kultury i sztuki. W najbliższym czasie w programie — sprawy muzyki — cykl „Tysiąc lat muzyki polskiej” i „O stylach w muzyce”. Będą to audycje umuzykalniające z zakresu muzyki poważnej przepro-

wadzone za pomocą bogatej płyto-

teki. Klub Ciekawych gromadzi dzieci w wieku od 10—14 lat na ciekawe zajęcia z geografii czy fizyki. Tu działają także koła krajoznawcze, filatelistyczne, fotograficzne i recytatorskie.

Jeśli dodam, że dość dawno istnieje w Domu Kultury kurs języka angielskiego i niemieckiego, a w bieżącym roku doszedł do nich język francuski i rosyjski oraz że pracują tu także zespoły: rytmiczny, taneczny, plastyczny i muzyczny, uzyskamy mniej więcej pełny obraz wielostronnej działalności placówki. Wspomnę tylko jeszcze o bibliotece (27 tysięcy woluminów — 13 punktów bibliotecznych na terenie huty oraz punkty w hotelach robotniczych i w okolicznych wioskach), i o kinie ZDK „Wrzos” — panoramicznym codziennie czynnym. Przyznaję, że rejestr był przydługi i nużący. Wydaje mi się jednak, że warto było przytoczyć dla przykładu innym tego typu placówkom zakładowym, Pracę Domu Kultury w Stalowej Woli warta jest naśladowania, a zwłaszcza jego program docierania ze swą działalnością w szeroko pojęte środowisko — a więc bezpośrednio do huty i do okolicznych wiosek zamieszkałych przez pracowników zakładu. Najlepszą miarą dobrej roboty Domu jest ilość ludzi stale związana z jego działaniem. Kluby, koła, zespoły i studia gromadzą wokół placówki 800 stałych uczestników spośród dzieci i młodzieży i około 500 dorosłych. A więc ZDK jest dynamicznym i bardzo środowisku potrzebnym ośrodkiem kultury, nauki i rozrywki.

J. G.

W KSIĄŻKACH

108 punktów. Korzysta z nich 23 tys. czytelników.

Warto podkreślić, że wszystkie placówki biblioteczne mają tu odpowiednie lokale. Jest to w dużej mierze wynik starań podejmowanych przez kierownika Zielińskiego. On sam uważa jednak, że o stosunkowo dobrej sytuacji lokalowej zdecydowała właściwa postawa miejscowych rad narodowych. Zapewne jedno i drugie, a także przychylny



stosunek mieszkańców wsi. Np. w Trzcinicy biblioteka mieściła się do tej pory w szkole, ale trzeba było przenieść ją do innego lokalu. Wystarczyło, że sőtys ogłosił, iż biblioteka potrzebuje nowego pomieszczenia, a wnet posypały się oferty.

Obecny poziom czytelnictwa w pow. jasielskim nie zadowala jeszcze mgr Zielińskiego. Znamieniem dzisiejszej kultury — mówi — jest powszechność. A czytelnictwo to właśnie jeden z przejawów tego wielkiego problemu. Bez masowego czytelnictwa nie może być mowy o powszechności kultury. Trzeba zatem szukać nowych sposobów zdobywania czytelników, bo kto raz rozmiłuje się w czytaniu, nie obejdzie się już nigdy bez książki. Nie wystarczy jednak sam autorytet bibliotekarza (nie wszędzie zresztą bibliotekarzami są ludzie z wielkim autorytetem) ani kursy czytelnicze, choć i one mają duże znaczenie. Może warto by rozwinąć jakieś badania socjologiczne w tym zakresie. W każdym razie dalsze upowszechnienie czytelnictwa jest koniecznością naszych czasów. Chodzi przede wszystkim o młodzież, która często po ukończeniu nauki i zdobyciu zawodu zapomina o książce.

Te sprawy — zdaniem Zielińskiego — znajdują się zapewne w programie obrad jednej z komisji Kongresu Kultury Polskiej. K. L.

Najdawniejszy Wrocław

W czasie prac wykopaliskowych prowadzonych w pobliżu kościoła św. Wojciecha na lewym brzegu Odry we Wrocławiu natrafiono na resztki starych murów kościelnych. Są to — zdaniem ekspertów — resztki kościoła romańskiego z początków XIII wieku. Był to, zgodnie z historycznymi zapiskami, pierwszy i jedyny w owych czasach kościół parafialny na lewym brzegu Odry. Ofiarowali go wrocławscy Piastowie Zakonowi dominikanów. W rejonie tym znaleziono także resztki murów klasztoru zbudowanego przez Dominikanów w początku XIII w. Oba te odkrycia świadczą, że wbrew twierdzeniu pewnych naukowców niemieckich wrocławski gród rozbudowywał się, sięgając daleko na lewy brzeg Odry na długo przed lokacją miasta na prawie magdeburskim. Także na wrocławskim rynku natrafiono na resztki domu romańskiego z początków XIII wieku.

Film jest mniej swobodny od literatury

W Paryżu olbrzymim powodzeniem cieszy się wznowiony po latach film Jeana Renoira „Bestia ludzka”. Film ten oparty na powieści Zoli powstał w 1938 r.

W związku z tym czasopismo „Les Lettres Francaises” przeprowadziło wywiad z Jeanem Renoirem:

— Co sądzi pan o panującej obecnie modzie adaptacji filmowej książek, które zdobyły rozgłos?

— Wielki sukces staje się udziałem zarówno dobrych książek, jak i dobrych filmów. Jeżeli chodzi o mnie, przez całe życie odrzucałem moje projekty. Gdy zaproponowałem ekranizację wspaniałej powieści Rumer-Goddena „Rzeka”, wszystkie wytwórnie w Hollywood zwały mój projekt. Twierdzono, że nie można wyobrazić sobie filmu o Indii bez polowania na tygrysy i słonie. Ogłądałem ostatnio film „Zakonnica”, zrealizowany w oparciu o utwór Diderota. Uważam, że jest to piękny film, szlachetny, pełen godności, niezwykle dobrze zagrany. Film ten powinien cieszyć się dużym uznaniem wśród miłośników kina.

— Jeszcze jeden pana film „Reguły gry”, również

MARIAN ADAM KASPRZYK

Poziomki

Danuta w kuchni pobrzękiwała spodczkami, był to dla niego sygnał, że czas kończyć pisanie. Za chwilę, usłyszał jej głos:

— Otwórz mi szybko drzwi i już składaj papiery. Dość na dzisiaj.

Marek dopiero teraz poczuł, że jest naprawdę zmęczony. Ten referat pisał już kilka wieczorów i cały czas był zły na siebie, że się tego podjął, że uległ jej prośbom: dawno już nie pisał podobnych wystąpień.

Przy tego typu pracy cenil sobie zawsze najwyższą odpowiedni klimat i, całe szczęście, że ona umiała mu go zapewnić. Godzinami potrafiła się nie odzywać, podsuwała we właściwej chwili zapałki, herbatę, a gdy dostrzegła, że utracił wątek, dyskretnie rzuciła z ręki pleców kilka słów; po kilku minutach rozmowy pisał znowu ze zdwojoną szybkością.

Na tym referacie bardzo jej zależało, zabkowała dopiero w działaniu — jak często podkreślała i „stary zetempowski wyga” z całą pewnością podoła zadaniu...

Musiał przyznać, że nie było w niej nic z niezdrowej pewności siebie, z całą lojalnością eksponowała swoje aktualne miejsce w tym całym przedsięwzięciu.

— Nie będę cię w niczym krępować, niczego narzucać, będziesz pisał, co będziesz uważał za stosowne — mówiła wtedy w kawiarni. To jej „będziesz” potraktował, jako dowód zaufania. Podobalo mu się to u niej.

Stała właśnie w drzwiach. Na widok tacy pełnej filiżanek, talerzyków i łyżeczek krzyknął:

— Na Boga! Po co to wszystko?

— Ano, to moja przyobiecana nagroda! Wybacz, inaczej nie potrafię ci się odwdziżyć — rzekła z uśmiechem.

— Istotnie, referat był już na ukończeniu, ale pisał dłuższe za jedyną „dziękuję” i stał był wyraźnie zaskoczony. Z uprawą, którą tylekroć podziwiał, zaścielała serwetki.

— Nie masz pojęcia, jak się cieszę — rzekła — przecież to wystąpienie spędzało mi sen z oczu. Teraz tylko czekać będą na dokładny termin Zjazdu.

Coś tam jeszcze szykowała biegając, jak mała dziewczynka, aż wreszcie krzyknęła radośnie:

— No, dokończ już. I chodź!

Przygotowałem coś specjalnego na dzisiejszy wieczór.

Gdy postawił kropkę po zdaniu, które, jak sądził, winno wywołać oklaski, odetchnął z ulgą i nastawił radio. Danuta czekała. Marek przyglądał się z zainteresowaniem telerzom, na których bielili się kopiający kochuch i wykrzyknął z udawanym zgrozzeniem:

— Cóż ty znowu wyrabiasz?

— Oto moja specjalność, Mareczku: po — moja — ki ze śmietaną! Przymak mego dzieciństwa i twego i wszystkich, wszystkich, nie tylko dzieci. Wiesz sam, każdemu to zostało z tamych lat — dokończyła z ceremonialnym gestem, zapraszając do stołu.

Marek stał wyraźnie stropiony, stwierdził, że gdzieś uleciało przyjemne podniecenie i zapowiedź podniosłego nastroju tego wieczoru. Przeciągnął dłoń po oczach i starał się powstrzymać drżenie rąk.

— Jest mi bardzo przykro, Danustu, ale ja nie jem poziomek, to znaczy truskawek — poprawił się —

ale to jest to samo, bo to takie ... młodsze siostrzyczki. A w ogóle, to nie przywiązuję do tego wagi, mam po prostu alergię. O! Kawy się z przyjemnością napiję — zakończył z bladym uśmiechem. Poczuł, że się rumieni. — Głupia sytuacja — pomyślał — że to właśnie dzisiaj!

— Co znowu za alergja? Jestem dopiero rok po maturze, rozumiesz...

— To takie uczulenie, nienormalna reakcja organizmu na pewne bodźce. No wiesz: wysypka i te historie — usiłował zbagatelizować jej zaskoczenie.

— Ach! — zrozumiała. — Ale może chociaż łyżeczkę spróbujesz? Tak mi naprawdę przykro.

— Nie mogę, nawet nie z uwagi na to, że mi lekarz zabronił, to po prostu stara, o k u p a c y j n a historia, której wolałbym... — urwał gwałtownie i podszedł do okna. Miał ochotę zatkać sobie uszy, gdy doszedł go jej śmiech, szczerzy i gwałtowny, niekiedy w spazm przechodzący. Nie słyszał, co do niego mówiła. Stał wpatrzony w daleką lunę na horyzoncie poprzątykaną gęsto liśćmi akacji, której zapach wiskał się do pokoju, ocierał się o policzki i osiadał na nozdrzach.

— Masz rację, k a z d e m u, to zostało z tamtych lat — rzekł bardziej do siebie i zapalił papierosa. Nie pamiętał, czy wtedy też pachniały akacje, tak jak nie słyszał nocą łomotania kołbami o drzwi.

Tamtego ranka mama długo nie mogła się go dobudzić. Gdy wreszcie otworzył oczy, pierwsze co zobaczył, to twarz mamy — bladą i zapłakaną.

— Wstawaj, Marku — Zenek już dawno ubrany. Pójdziemy do lasu, musimy zbierać dużo poziomek.

Zasnymi oczami wodził po izbie i zaraz się rozplakał: nie wiedział dlaczego ma zaraz iść do lasu i nie rozumiał, po co mu te poziomki, na które o tej porze dnia absolutnie nie miał ochoty. Nawet w lesie, wciąż nie dostrzegł związku pomiędzy brakiem ojca na śniadaniu, a koniecznością zbierania poziomek. Mimo to, słuchał uważnie głosu mamy bo odczuł, że jest inny, jak zawsze, jakiś drewniany, przygaszony i pełen próby:

— Jak zbieramy cały ten dzban, to t a t o w r ó c i i kupi ci, Marku, torbę, kredki i kupi ci nowe trzewiki. Jesteś już wielkie chłopisko i pójdiesz wnet do szkoły — dodała.

— To te poziomki dla taty? — zapytał Marek.

— Dla Niemców, ty głupi — ofuknął go starszy brat, przedzierający się przodem wąską przesieką.

— Tak, dla Niemców — potwierdziła mama. — Bo jak im damy poziomek to oni tawatwi każą iść do domu. Niemcy lubią poziomki, a my nie mamy im co dać. Nie mamy ani mięsa, ani masła, ani truskawek. Musimy zbierać cały dzban.

Marek spojrzął na to pękate naczynie i stwierdził w myślach, że tyle poziomek na raz to by nie zjadł nigdy.

— Mamo, poziomki to takie młodsze siostrzyczki truskawek, prawda?

— Tak, Marku.

Zbliżyli się już do rozległej polany, za którą od strony starej, austriackiej „baterki” zawsze największej było poziomek — gdy usłyszeli znowu głos mamy:

— Nie jedzcie dzisiaj poziomek, dzieci. Do południa musimy nazbie-

rać, a potem zaniosę do miasta. Pamiętajcie!

— Marek będzie i tak jadł, zobaczysz mamo — stwierdził Zenek.

— A nie będę!

— Ja cię przypilnuję! Prawda, że jak zje chociaż jedną, to tata nigdy już do nas nie wróci?

— Tak, nie wróci, dzieci — odparła matka, podnosząc zapaskę do oczu.

Miała się już na południe, Marek usiadł na skraju udołu, którego dno wypełniała brunatna maź, pełna zgnilej trawy i liści. Był zmęczony i głodny. Spodierał raz po raz na kubek pełen poziomek i wiercił się niespokojnie na kępie mchu. „A gdyby tak chociaż jedną, tę małą, na której błyszczała jeszcze kropelka rosy... Przecież mogłem jej

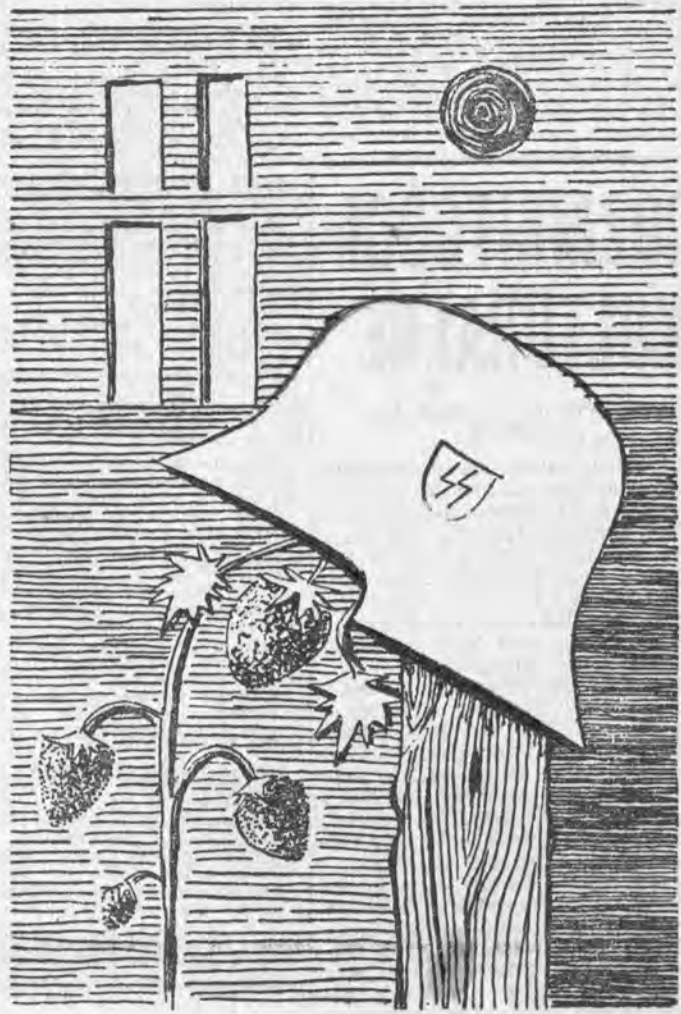
Marek zamarł z przerażenia i opanowany garnuszek skulił się jak przed ciosem.

— Pokaż język! — krzyczał brat. — Jadłeś poziomki i teraz tato nie wróci. Cały czas jadłeś, ale dopiero teraz cię przytapałem. Myślałeś, że nie wiem dlaczego się od nas odłączyłeś! Teraz będzie wszystko na ciebie, zobaczysz!

Nadeszła matka. Marek stał ze zwieszonymi ramionami i przez lzy spozierał na rozsypane poziomki, które na kształt poskręcanych, czerwonego różańca rozstąpiły się na ścieżynie.

— Pozbijajcie to i chodźmy do domu, dzieci. Już wystarczy — rzekła spokojnie mama.

Gdy przyszła wieczorem do domu, nie odzywała się do nikogo. Usiadła z weschnięciem na kanapie.



Rys. J. SIENKIEWICZ

wcale nie znaleźć... O właśnie! — uśmiechnął się do swoich myśli.

Wodził wzrokiem po pobliskich krzakach i leszczynie. Był przekonany, że mama z Zenkiem zbierają poziomki bliżej polany, tam jest ich więcej, ale są jakies małe i wysuszone od słońca.

„Przecież Niemiec nie będzie liczył poziomek... Na brak tej jednej nawet nie zwróci uwagi, będzie ich miał przecież cały dzbanek. Cały dzban! czerwoniutkich, słodkich i pachnących wilgotną pleśnią. A Zenek tak tylko straszy. On zawsze tak! Niejedną już chyba poziomkę ukradkiem zjadł! A może... może oni już napełnili dzbanek i ten kubek już się nie zmieści? Słońce nie było jeszcze tak wysoko, gdy odnosiłem tamten, a przecież mieli już więcej jak połowę”.

„Gdybym zjadł trzy poziomki, to tato by nie wrócił, ale ta jedna, najmniejsza...” zamyslił się znowu. Raptiem porwał się jak gdyby doznawszy jakiegoś oświecenia.

„Przecież mogę ją sobie urwać, po co ruszać tą w garnuszkę i tak go zaraz odniosę mamie”.

Wodził chwilę wzrokiem między kępami paproci i pochylitwszy się przytknął do ust rękę. Zaraz usłyszał za plecami wrzask Zenka: — Ja ci dam! Mamo — tamten powtórzył. — Mamo!

sparta głowę na rozpostartych dłońiach i zaraz ciałem jej poczęły wstrząsać drżenia.

Marek poczuł na swoim ramieniu rękę Danuty i ocknąwszy się z chwiloowej zadumy, zaraz usłyszał jej głos:

— Człowieku, przecież ja już piętnaście minut do ciebie mówię, a ty stoisz jak zamurowany. Z tymi poziomkami to rzeczywiście jakaś b o m b o w a h i s t o r i a, skoro aż tak cię zatkało — usiłowała się chyba przy tym uśmiechnąć.

— Najmocniej cię przepraszam, ale...

— Nie wygłupiaj się — przerwała mu. — Cóż to, grymasisz jak mały dzieciak? Nie słyszałam, by ktoś na świecie nie lubił tego przysmaku, żebym...

— Danustu! Ty nie rozumiesz, ja nie dlatego...

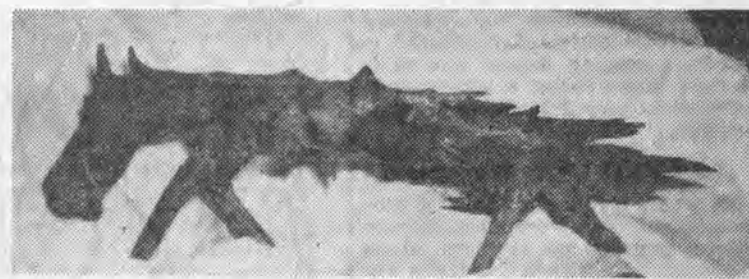
— Och, rozumiem doskonale! Wolałbyś, żebym przyniosła butelkę koniaku...

— Przestań!

Miała lśniące oczy i zakłopotaną twarz. Marek usiadł gwałtownie do stołu. Najpierw powoli, z namaszczaniem wymieszał te czerwone kulki ze śmietaną, a potem z narastającą pasją gniołł je i miadził.

Danuta stała nieporuszona, wstuchana w zgrzytliwy chrobot.

Sosnowiec, w maju 1966 r.



W Izbie Rzemieślniczej w Rzeszowie zorganizowano niedawno wystawę rzeźby i rzeźbiarstwa ludowego z Białej Karpaty Konstantego Krzyży. Artysta pokazał interesującą kompozycję rzeźbiarską, wśród których zwracały uwagę swym autentyzmem sceny z życia małego miasteczka i rodzajowej scenki wiejskiej. Ta grupa prac posiadała obok artystycznych również wartości dokumentu etnograficznego. Na wystawie eksponowano także duży zbiór bardzo oryginalnych form stworzonych przez naturę (korzenie, seki, gałęzie), które Krzula z powodzeniem kolekcjonuje. Na zdjęciu jeden z takich „zwierzaków” z korzenia.

Fot. M. KOPEC



Henryk Safarewicz: **ELEKTRONIKA NA MORZU**. W-wa 1966, MON, s. 208, cena 11 zł.

Ta popularnonaukowa książka omawia zastosowanie urządzeń radiowych i elektronicznych w żegludze morskiej. Po omówieniu zasad budowy i wykorzystania urządzeń radiokomunikacyjnych i radionawigacyjnych przedstawia perspektywy rozwoju elektroniki morskiej.

Julian Lider: **ZACHÓD A ROZBROJENIE**. W-wa 1966, Zachodnia Agencja Prasowa, s. 244, cena 35 zł.

Autor nadał publikacji podtytuł: „Problemy rozbrojenia w myśli polityczno-wojskowej państw NATO”. Pokazuje argumentację antyrozbrojeniową, szczególnie kół politycznych i wojskowych NRP.

Mieczysław Juchniewicz, Stanisław Rzepiński: **PIASTOWSKIM SZLAKIEM**. W-wa 1966, MON, s. 311, cena 20 zł.

Pozycja szczególnie interesująca dla zwolenników militarizmu, obrazuje boiem historię 29 pułku piechoty. Dla Rzeszowian uwaga: 29 pp. powstał w Rzeszowie 6 października 1944 roku. W książce znajdują się więc rozdziały o dziejach

pułku w naszym wojewódzkim mieście, potem jego bogaty szlak bojowy. Ponadto obsada personalna 29 pp. oraz spis odznaczonych.

Zbigniew Jaśtak: **SZLAKIEM WOJSK CHEMICZNYCH 1943-1945**. W-wa 1966, MON, s. 456, cena 35 zł.

Jest to pierwsze syntetyczne opracowanie dziejów wojsk chemicznych i ich udziału w wielkich operacjach ludowych sił zbrojnych w minionej wojnie. Zawiera wiele tabel, map, wykresów oraz list kadry oficerskiej, poległych i rannych.

Andrzej Józef Kamiński: **ŚLADAMI HAKATY**. W-wa 1966, KiW, s. 528, cena 55 zł.

W publikacji autor omawia zasadniczo dwa główne zagadnienia: formalną rolę „ziomkostw” w polityce zachodniemieckiej oraz charakter, kierunek i treść owego wpływu. Zawiera bibliografię przedmiotu oraz indeks nazwisk i miejscowości.

Ignacy Krasicki: **RZYMSKIE ABC**. W-wa 1966, Iskry, s. 280, cena 24 zł.

Znany dziennikarz publikuje 22 reportaże, do których materiały zbierał w Rzymie i okolicach w czasie dwóch ostatnich lat. Tematyka jest życie codzienne, ponadto o Janie XXIII, uniwersytecie, Trattorii, Handlu itp. Ciekawe ilustracje.

Ernest Hemingway: **STARY CZŁOWIEK I MORZE**. W-wa 1966, PIW, s. 88, cena 10 zł.

Szóstą to już wydanie znakomitego opowiadania zmarłego śmiercią tragiczną amerykańskiego pisarza. Przewiduję, że podobnie, jak inne utwory prozaika, w ciągu kilku dni zniknie z półek księgarskich.

Gusta Fuczikowa: **WSPOMNIENIA O JULIUSZU FUCZIKU**. W-wa 1966, KiW, s. 570, cena 30 zł.

Zona autora „Reportażu spod szubienicy” publikuje wspomnienia o swoim mężu oraz o działalności czeskich komunistów w okresie II wojny światowej. Zbeletryzowana forma jest mocną stroną pamiętnika.

Józef Siemek: **QUOUSQUE TANDEM KARDYNALE?** W-wa 1966, KiW, s. 87, cena 4 zł.

Tomik z serii: Problemy, polemiki, dyskusje; omawia szkodliwą działalność kardynała Wyszyńskiego na podstawie wypowiedzi i czynów przywódcy kościoła katolickiego w Polsce.

Bogusław Gałęski: **SOCJOLOGIA WSI**. Pojęcia podstawowe. W-wa 1966, PWN, s. 120, cena w subskrypcji 10 zł. Omega.

Autor omawia podstawowe pojęcia socjologii wsi. Przedstawia cechy, sposób funkcjonowania i kierunek przeobrażeń gospodarstwa chłopskiego i rodziny chłopskiej oraz swoisty system społeczny wsi. Pokazuje jego przeobrażenia i przystosowanie się do współczesnej cywilizacji przemysłowej.

Bohdan Dobrzański: **GLEBY I ICH WARTOŚĆ UŻYTKOWA**. Wyd. II. W-wa 1966, PWRiL, s. 363, cena 53 zł.

Pomocna bardzo dla studentów szkół rolniczych, agronomów wiejskich i wszystkich interesujących się rolnictwem w sposób naukowy.

Marian Czura: **POMIAR DRZEW I DRZEWOSTANÓW**. W-wa 1966, PWRiL, s. 244, cena 20 zł.

Podręcznik dla techników leśnych.

Mieczysław Janiszewski: **ULE I SPRZĘT PASECZNY**. W-wa 1966, PWRiL, s. 183, cena 17 zł. Ilustracje.

Zdzisław Keck: **SKROWIDZ PRZEPISÓW PRAWNYCH** ogłoszonych w Dzienniku Ustaw i Monitorze Polskim w latach 1918-1939 i 1944-1965. W-wa 1966, Wyd. Prawnicze, s. 680, cena 65 zł.

ROZMAITOŚCI KULTURALNE

ATLANTYDA — KONIEC LEGENDY?

Ekipa naukowców amerykańskich i greckich, specjalistów w dziedzinie sejsmologii, prowadzi badania w pobliżu Santorin, jednej z najmniejszych wysp Cyklad. Ekipe towarzyszą dwaj nurkowie głębini. Wiele wskazuje na to, że w pobliżu wyspy natrafiono na... ślady Atlantydę — tajemniczej krainy, która zniknęła przed wiekami.

Pierwszą informację o Atlantydzie zamieścił Platon w swym dialogu „Krytias”. — Na wyspie Atlantydzie po drugiej stronie słupów Herkulesa (Cieśnina Gibraltarska) królowie stworzyli państwo wielkie i wspaniałe... Zgromadzili tu skarby, jakich bez wątpienia żaden ród królewski przed nimi nie posiadał.

Poszukiwania śladów zatopionego królestwa trwały wieki. Szukano ich zawsze na Oceanie Atlantyckim, ponieważ Platon wspominał o słupach Herkulesa. Ostatnio profesor grecki Galanopulos, kierownik katedry sejsmologii na uniwersytecie w Atenach, wysunął całkowicie nową hipotezę. Jego zdaniem — Platon, mówiąc o Atlantydzie nawiązywał tylko do legendy egipskiej i omylił się wymieniając słupy Herkulesa. Należy jej szukać nie na Atlantyku, lecz na Morzu Śródziemnym, które było głównym ośrodkiem cywilizacji w ówczesnym świecie, ściślej zaś na Morzu Egejskim, w pobliżu częściowo zatopionej wyspy Santorin. Uczony opiera swe twierdzenia na badaniach geologicznych. W pobliżu wyspy Santorin, wybuch wulkanu w epoce brązu mógł doprowadzić do zatopienia części kontynentu. Rzeczywiście warstwy lawy i siarki znaleziono w ruinach pałacu we wschodniej części Krety, a wyniki badań zanurzonej części wyspy Santorin wydają się odpowiadać opisom Platona.

Teorie, wysunięta przez uczonego greckiego poparli naukowcy amerykańscy. Sejsmologowie, profesorowie James Navor, Hoskins i in.

PLANY TWÓRCZE WIERY INBER

Wiera Inber, znana pisarka radziecka, po dłuższej chorobie powróciła znów do pracy literackiej. Obecnie zamierza napisać tom wspomnień o wybitnym dramaturgu Aleksandrze Afinogenowie, Michale Świętłowie i innych bliskich jej przyjaciółach.

Przygotowuje również do druku cykl wierszy pt. „Wspominam”. Pracuje ponadto nad poematem poświęconym Leninowi. Utwór ten ukazuje się w jubileuszowym roku 1967.

Ostatnio nakładem wydawnictwa „Chudożestwiennaja Litteratura” ukazał się czwarty, ostatni tom zbioru dzieł Wiery Inber, w którym znalazły się utwory dotychczas nie drukowane.

„LA STRADA” W LA SCALI

Na scenie teatru „La Scala” w Mediolanie odbyła się premiera nowego baletu opartego na głośnym filmie Felliniego „La Strada”. Muzykę napisał Nino Rota. W roli Gelsominy wystąpiła Carla Fracci (przed 12 laty na ekranie postać tę odtworzyła Giulietta Massina), w roli Zampano — Aldo Santambrogio.

„La Strada” na scenie baletowej zdobyła wielkie uznanie publiczności i krytyków.



RYSZARD MOSKAL — kierownik Wydziału Kultury Prez. PRN w Lubaczowie — delegat na Kongres Kultury Polskiej.
RYS. J. SIENKIEWICZ

Opowieść folklorystyczna

STOBIERNA

Stobierna obecnie leży po dwu stronach szosy prowadzącej z Sokolowa do Rzeszowa. Przepływa ją rzeczka Świerkowiec; kiedyś jedyną skarbnicą wody pitnej. Ten Świerkowiec wskazuje, że tu rosły lasy świerkowe, kiedy jeszcze na tym miejscu wioski nie było.

Dumny pan na Rzeszowie zczył sobie nad Świerkowcem wioskę mieć, to taka wioska stanęła. Stę się wyprawilo chętnych osadników spod Rzeszowa. Ciężka była przy karczunku lasu robota. Ale wierna była złeconemu zadaniu chłopska drużyna. Na porębie nad Świerkowcem wioskę w końcu założyli. Sprowadzili na nowinę kobiety i zaczęło się zwyyczajne nad Świerkowcem chłopskie życie. A kiedy już było tutaj

co przy stołach w gębę włożyć, kiedy sypnęły się dziaćki i Świerkowiec odezwał się klaszczącymi o pieluchy kijankami, trzeba było wioskę nazwać.

Stu ich było przy wyrębie świerczyny sprawców nowych stu dymów. Wioska, która sto zabrała pańszczyzników spod Rzeszowa, dziedzic jej nazwał **S t o b i e r n a**.

Z czasem o tych pionierach zapomniano. Starej nazwy nikt, jak trzeba, nie rozumie. Lecz przecież mówiące imię wsi jej początki przypomina.

Opowiedział Janusz Sutyla ze Stobiernej, pow. Rzeszów, opracował

WŁADYSŁAW DŁUGOSZ



DWUTYGODNIK
POŚWIECONY
DĘBYCZAJOM
SARMATÓW



REDAGUJE
E. GAJEWSKI
RYSUJE
J. SIENKIEWICZ

ALBOSMY TO CACY, CACY... SORBONA I GOMORA

Niezmiernie byłem rad, gdy przypadkowo na ulicy spotkałem Antosia. Nie obeszło się bez dużej buźki z dubeltówki.

— Antoś — szmat czasu... — mówię. I jak przy takich niespodziewanych spotkaniach bywa, głupio pytam:

— Co słychać?

— Zie — odpowiada mi Antoś — od kiedy kultura wkroczyła do Flaszkowa Sorbona i Gomora, co tu dużo mówić, Wojtek Warzocha padł ofiarą swego jentelktualizmu.

Nie bardzo ta mowa Antosia trzymała mi się kupy i jakoś mi się nie widziało, aby Wojtek ochlapł — intelektualistą!

— Wiesz co, Antoś, wdępnimy na kawkę, a ty mi wszystko opowiesz.

Antoś niespodziewanie zbladł, próbuję go wziąć pod ramię, a on mi chodu...

— Antoś! — wołam — coż to za kawki kumplowi odstawiasz?!

— A Antoś mi na to:

— Nie jestem jentelgentem i dwie stowy mi droga nie chodzą.

— Myślę sobie — nieporozumienie.

— Ja płacę!

— Nie pójde i basta!

— To może na jednego, do gospody?!

Antoś z miejsca się udobruchał i znowu mu krew napłynęła do twarzy.

— To, co innego.

W gospodzie siekliśmy po parę czystych pod śledzika. Antoś zamówił po dwa duże piwa i wyjaśnił mi, że po paru „wywoływaczach” najlepiej utwalił się piwkiem. Zaraz też poweseleliśmy. Okrutnie mnie jednak paliła ciekawość, co też zagaduję o Flaszków. Antoś z miejsca pomarkotniał i zrezygnowany zaczął opowiadać:

— Wszystko przez babskie hambieje. Na zebraniu Koła Gospodyń Wiejskich, kobiety upichciły jakiś memoriał w sprawie zakazu wyszynku wódki w naszej gospodzie. Jak swego dosięgły, zachciało im się klubokawiarni. Gardłowały, że czasy się zmieniły i na wieś

kultura wkracza. Z początku chłopcy chodzili po wsi rozeźloni, bo do najbliższego sklepu monopolowego 10 kilometrów. Toteż z nudów, zaczęli zachodzić do tego klubu na telewizor i gazety. A Wojtek to tak zamakował w tym nowym jenteligenkim stylu życia, że jak zawiadomiono soltysa, iż z powiatu będziemy mieli gości, oświadczył:

— Biorę go na siebie. Solennie wam przyrzekam, że nie będzie sromoty. Niech się w mieście dowiedzą, jaka u nas kultura. Przystaliśmy, bo Wojtek uchodził za najtęższego jenteligena w klubie. W ten nieszczęśny wieczór, Wojtek wrócił do chałupy późno i blady, jak pomocnik piekarsza, do Józki powiedział:

— Chyba będę umierał, serce mi się okrutnie trzępocze. I zaczął się sianiać na nogach. Ułożyłmy Wojciecha na łożu, a Józka zaczęła pomstować, że „wszystkie chłopcy to pijanice i nie, tylko z tym z powiatu, musiał się zachlać”. Ponieważ Wojtko coraz więcej słabło, soltys wezwał pogotowie.

Doktor osłuchał Wojtko, dał mu zastrzyk i wpytał: „Gdzie tak sobie dogodził?”. Wojtek mruknął, że pil w klubo-kawiarni z gościem z powiatu.

— Dużo? — zainteresował się lekarz.

Dotknięty na honorze Wojtek odparł:

— Pewnikiem, że dużo, 10 szklanek.

Lekarz z wrażenia aż zeszytniał, jak żona Lota i mówi:

— Sorbona i Gomora.

— Chyba Sodoma?

— Możliwe.

Ale Józkowa musiała zabulic 200 złotych i zaczęła okropnie łabidzić, że tyle pieniędzy...

Lekarz wrzucił ramionami i odrzekł:

— Mógł nie pić!

— Antoś — coś mi się nie wydaje, aby Wojtek na jednym posiedzeniu wyciągnął dwa i pół metra.

— Wypil! — obruszył się Antoś. Wojtek co wieczór pijał 5 szklanek, a w ten wieczór chciał zaimponować temu z powiatu, jacy u nas są jentelktualści i wypil 10 szklanek kawy. Poświęcił się dla kultury, i to mu zaszkodziło.

Zdarzenia tygodnia

1 października w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie odbyła się uroczystość inauguracji roku kulturalnego. Licznie zgromadzeni pracownicy placówek kulturalno-oświatowych z terenu miasta, członkowie zespołów artystycznych i zaproszeni goście wysłuchali informacji kierownictwa WDK o założeniach i planach pracy na sezon jesienno-zimowy oraz obejrżeli występy zespołu pieśni i tańca tej placówki.

Program ostatnich koncertów Państwowej Orkiestry Symfonicznej z Rzeszowa wypełniła muzyka popularna. Katarzyna Groblewska (sopran koloraturowy), Chór Towarzystwa Śpiewaczego „Orfeusz” oraz orkiestra, którą dyrygował Janusz Ambros wykonali utwory T. Szeligowskiego (Wesele lubelskie), Chacaturiana, Rmskiego - Korsakowa, de Falli, Mozarta oraz Rossiniego. Przed koncertem (7 bm.) w sali WDK ten sam program usłyszeli mieszkańcy Sanoka na koncercie, zorganizowanym z okazji sejmiku kulturalnego, studenckiego rzeszowskiej WSI (w dniu 29 ubm. podczas inauguracji roku akademickiego). Podobny koncert odbył się w Lubaczowie, przewidziany programem Dni Lubaczowa i w Krośnie.

Po przerwie wakacyjnej wznowia działalność Wojewódzka Scena Amatorska (scena Wojewódzkiego Domu Kultury). W dniu 8 bm. zespół Zakładowego Domu Kultury Górniko-Naftowca z Krosna zaprezentuje widowisko regionalne pt. „Swaty” w opracowaniu Wiktora Łackiego.

Zespół Pieśni i Tańca WDK (zespół taneczny, kapela, soliści oraz zespół orkiestralny Państwowej Szkoły Muzycznej) czyni ostatnie przygotowania przed wyjazdem do Austrii, gdzie będzie rewidował zespół amatorski z Hartbergu, który przebywał w naszym województwie w styczniu bieżącego roku.

„Dni Folkloru Pogorza Dynowskiego” — to nowa inicjatywa działaczy kultury pow. brzozowskiego, wysunięta podczas odbytego niedawno sejmiku przedkongresowego. Imprezy, która ma się odbywać co roku, będzie patronowało Brzozowskie Towarzystwo Kultury.